



*AD AIA is fier rijk in goud
water hier ontrent die Landt van de
goud op dat men alle
primatien niet meer fier
vrijenicht*

*Iwaipanoma in
deze Provincie schrijft s Raes
dat de menschen seker
hoofden sijn seer sterk
ende vreedt volck*

Capury R loope inde riviere Orenoque
maer is seer ondiep ende vol sanden. sy heft
mer lege water met meer al vijf voets
diepte. Sy lichte in een baye. waerin de Oeflin
wint seer gewellich wyer. datmen meent niet
mogelich te zyn dese wederom uit te seylen.

In dese Riviere Macawin's Orenoque
vintmen veel gouds int sant

De omliggende natien van dese Riviere vare in zo dagen
van den mont deselves. tot op eenen dagh reysen naer het
groot lac Parime. Van waer sy voor eerst haere slyse op
den hals nemen. ende bringens over land tot an het lac
daer naer comen sy met haere canoas ende bringe oock
over land. tot in het four lac. om haere trafteken te doen.
Den Spangiaer comt onnatuerlick niet verder.
als tot dese Riviere Eskeche

Manoa este el Dorado. dit soude sijn de grootste
stad diemen vint inde gansche werelt

Dit Lac wort vande Natie Canibales. genaemt Parime: ende vande ander Natie de
Jaos, Foponowini. Het is een sout water, 200. Leaguen lanck: hier in sijn vele eylanden
ende groote menichte van Canoas. ofte Indiaensche schip: kens.

ZONES, Waer van de Riviere
staende alleen van vrouwen. Dese vrouwen
nen. die is sijn van afnemende. de Maent
ningen ende de Coninginnen van dese Amaz
elck het lot. voor sijn compaignie. In dese
pringen. eten. drincken. naer haere maniere. D
s die daer achter eenen sone haren. seunden
redens op ende seunden den vader een present. Dese Amazones sijn seer vreed
over haere vrienden. Sy hebben vele gouds. swelck sy crigen voor sekere groene
schijft Sir Water Raleigh.

VOLTAIRE (WOLTER)

Kandyd





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

VOLTAIRE

*Kandyd czyli optymizm*¹

DZIEŁO PRZEŁOŻONE Z NIEMIECKIEGO RĘKOPISU DOKTORA RALFA², Z PRZYCZYNKAMI ZNALEZIONYMI W KIESZENI TEGOŻ DOKTORA, ZMARŁEGO W MINDEN, R. P.³ 1759.

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

W pierwszej epoce swojej długiej i bogatej twórczości, Wolter⁴ nie tyle troszczył się o to, aby społeczeństwo reformować i ulepszać, ile aby,

¹*Kandyd czyli optymizm* — *Kandyd* jest odpowiedzią na *List o Opatrzności* Jana Jakuba Rousseau oraz na „filozofię optymizmu” Leibniza, cieszącą się w owym czasie wielką wziętością. W swojej argumentacji *ad hominem* [tj. „do człowieka”, do konkretnej osoby; Red. WL.], przypomina nieco Sganarela z Molierowskiego *Małżeństwa z Musu*, który, zniecierpliwiony krańcowym sceptycyzmem filozofa Marfuriusza, okłada go kijem, aby mu w najkrótszej drodze udowodnić, że nie wszystkie wrażenia są względne i zwodnicze. [przypis tłumacza]

²*doktor Ralf* — jest oczywiście fikcyjną osobistością. Wolter wydawał wszystkie swoje pisma filozoficzne bezimiennie, aby uniknąć prześladowań. Że ostrożność ta była usprawiedliwiona, dowodzi, iż w tymże samym roku 1759 *Kandyd* został spalony w Genewie na rozkaz Rady, ręką kata. [przypis tłumacza]

³*R. P.* — skrót od: Roku Pańskiego. [przypis edytorski]

⁴*Wolter* — właśc. François-Marie Arouet (pseud. Voltaire) urodził się w r. 1694 w Paryżu, umarł, również w Paryżu, w r. 1778. [przypis tłumacza]

w takim jak jest, zająć najpocześniejsze miejsce. Prowadziły wówczas do tego celu trzy drogi: talent, majątek i szlachectwo. Pierwszego ma pod dostatkiem i szafuje nim zręcznie, nie wahając się rozmieniać go w potrzebie na drobną monetę salonowej galanterii i igraszki; drugi osiąga rychło, obracając przezornie schedą ojcowską, wyzyskując koneksje i stosunki, i zdobywając już za młodu podstawy materialne, które mu zapewnią na całe życie niezależność, a nawet bogactwo. Trzeci atut, szlachectwo, nim je później nabędzie za gotówkę, uzurpuje sobie, sposobem naówczas dość powszechnym, zmieniając mieszczańskie nazwisko Arouet na fikcyjno-szlacheckie „de Voltaire”. Uzbrojony tym potrójnym rynsztunkiem, Wolter wchodzi śmiało w najlepsze towarzystwa Paryża i dociera niebawem do sfer najwyższych, aż do dworu. Dowcipem swoim, ciętością epigramu i łatwością wierszowania opłacał Arouet bez trudu prawo obywatelstwa w tym błyszczącym, żądnym wesela i łatwej uciechy światku Regencji; ale ambicje poety sięgały wyżej. Wśród za-

baw i rozrywek pracuje nad tragedią w stylu klasycznym *Edyp*, która, wystawiona w r. 1718, jedna 24-letniemu autorowi laury godnego — zdaniem współczesnych — następcy Corneille'a i Racine'a. Epopeja narodowa, której bohaterem jest najpopularniejszy z królów Francji, Henryk IV — *Henriada* — opromienia nowym blaskiem imię poety, a w ślad za rozgłosem sypią się i pensje ze szkatuły ks. Orleanu (1718), króla (1722) i królowej (1725). Jedenaście miesięcy spędzonych w więzieniu, w osławionej Bastylii (maj 1717 — kwiecień 1718) za utwór pt. *Widziałem*, którego nie napisał, oraz za pamflet *Puero regnante*, którego Wolter istotnie był autorem, uzupełniają obraz życia wziętego literata pierwszej połowy XVIII wieku. Słowem, w latach tych Wolter żyje w upojeniu sławy, blasku, obcowania na równej — na pozór — stopie z najmożniejszymi panami, słowem, tryumfu na całej linii.

Wśród tego mąci życie jego wypadek, który ściąga poetę z obłoków na ziemię. Kawaler de Rohan, z którym miał nieszczęście przemó-

wić się w teatrze, wywołał go z pałacu księcia Sully, gdzie Wolter był na obiedzie, i po prostu kazał oćwiczyć go lokajom, gdy sam kawaler, siedząc w karocy, czuwał nad sumiennym wykonaniem zlecenia. Wolter pieni się w bezsilnej wściekłości tym bardziej, że widzi, iż jego najbliżsi „przyjaciele”, książęta i margrabiowie, uważają całe zajście za przygodę dość zabawną, naturalną i — bez znaczenia. Mimo iż z natury niezbyt rycerski, Wolter chce się bić, domaga się pojedynku; ale rodzina kawalera de Rohan kieruje sprawą inaczej: poeta dostaje się znowuż do Bastylji (1726), skąd po miesiącu wychodzi pod warunkiem, iż uda się na jakiś czas do Anglii. Tym razem Wolter miał wszelkie przyczyny zauważyć, iż nie wszystko jest doskonałe „na tym najlepszym ze światów”.

Przybywa do Anglii dobrze zaopatrzonego w cze-ki i w rekomendacje nawet samego ministerstwa zawstydzonego nieco swą rolą w tej sprawie. Spędza tu półtrzecia roku, chłonąc w siebie atmosferę życia umysłowego Anglii, która dla ówczesnego francuskiego przybysza musia-

ła się wydać rajem wolności osobistej, politycznej i intelektualnej. W ciągu tych lat Wolter buduje silne podstawy własnej kultury duchowej; z ciekawością bada nowe dlań społeczeństwo, jego idee, obyczajowość, instytucje, sekty; zapoznaje się z literaturą angielską, z obcym wówczas zupełnie dla Francji Szekspirem; odnajduje powinowactwo z własną umysłowością w racjonalistycznej filozofii Locke'a; nabiera gruntownego wykształcenia i zamiłowania przyrodniczego, zwłaszcza w nauce fizyki. Rezultatem pobytu są *Szkice* oraz *Listy filozoficzne*, które ukazały się najpierw po angielsku (1733), następnie po francusku; zaraz w pierwszym roku (1734) uzyskały pięć wydań, wywołały żywą polemikę i silne zaniepokojenie sfer duchownych i rządowych we Francji. *Listy filozoficzne* zawierają w zarodku już cały „wolterianizm”.

Mimo formalnego pozwolenia na powrót do Paryża, Wolter uważał za bezpieczniejsze usunąć się nieco z widoku. Osiada niedaleko granicy, w Cirey, w zamku, z którego panią, mar-

grabiną du Châtelet, łączyły go tkliwe stosunki. Lata spędzone w Cirey są dla Woltera latami wytrwałej i owocnej pracy. Wraz z margrabiną, zapamiętałą fizyczką, tłumaczką dzieł Newtona, zagłębia się w nauki przyrodnicze, eksperymentuje. Dla przyjaciółki swej, zmierzzonej błahością i nienaukowością historii, takiej jak ją pojmowano wówczas, pisze kapitalne swoje dzieło: *Essai sur les moeurs* — „Zarys obyczajów” — szeroko zakreśloną i własnym duchem ożywioną kompilację — jak również znakomite, jak na swój czas, prace historyczne: *Historię Karola XII* oraz *Wiek Ludwika XIV* (dokończony znacznie później, w czasie pobytu na dworze pruskiego Fryderyka). Wśród tego częste wycieczki w sferę literatury pięknej; żartobliwy i wyuzdany poemacik *La Pucelle* — parodystyczna historia Dziewicy Orleańskiej — dla nas mało smaczny i zabawny, wówczas cieszący się olbrzymim powodzeniem, mimo iż krążył na razie w odpisach; antyklerykalna tragedia *Mahomet*, która, chłoszcząc rzekomo fanatyzm muzułmański, mierzy wyraźnie w ka-

tolicyzm (Wolter, niby z głupia frant, ofiarował tragedię papieżowi Benedyktowi XIV; papież, nie pozostając dłużny w koncepcie, przyjął dedykację i przesłał autorowi błogosławieństwo); prócz tego inne tragedie, które grywa się w Cirey, w teatrze urządzonym na strychu; wreszcie polemiki, madrygały, korespondencja etc. W owym czasie rozpoczyna się wymiana listów z Fryderykiem pruskim, wówczas jeszcze następcą tronu (nawiasem mówiąc, jeden z mniej apetycznych dokumentów ludzkości), która, przerywana na jakiś czas osobistymi nieporozumieniami, miała się ciągnąć przez całe życie pisarza.

Po dziesięciu latach względnej samotności Wolter zatęsknił za gwarem Paryża. Dzięki poparciu pani de Pompadour odzyskuje łaski dworu. W r. 1743, po świetnym sukcesie tragedii *Merope*, król wyprawia pisarza w misji dyplomatycznej do króla pruskiego; za powrotem, w zamian za widowisko dworskie sklecone z okazji małżeństwa Delfina, zostaje Wolter szambelanem królewskim i historiografem Francji.

W r. 1746, znowuż za poparciem pani de Pompadour, wchodzi do Akademii Francuskiej. W tych latach Wolter znów skłonny był mniemać, iż wszystko na tym świecie toczy się dosyć znośnie; skreślony w owym czasie drobiazg *Widzenie Babuka* oddycha zadowolonym z siebie i z drugich optymizmem.

W r. 1749 Wolter stracił wierną przyjaciółkę, panią du Châtelet. Margrabina, serdecznie opłakiwana, zmarła wskutek ciąży, której sprawcą okazał się — młody oficer i poeta, Saint-Lambert, ten sam, który był później kochankiem uwielbianej przez Russa⁵ pani d’Houdetot. Wydarzenie to stało się sensacją Paryża i Europy, a Saint-Lambert, jak głoszą światowi kronikarze, zdobył dzięki niemu ostrogi pisarskie.

Złośliwy język i dość trudny charakter nie pozwoliły Wolterowi długo zachować łask dworu. Niebawem, zrażony do Francji, dał się nakłonić pochlebnym propozycjom króla pruskie-

⁵*Russo* — właśc. Jean-Jacques Rousseau (1712–1778) pisarz francuskojęzyczny, pochodzący z Genewy, filozof; tu: zapis nazwiska zgodny z wymową oraz polską odmianą formy fonetycznej. [przypis edytorski]

go Fryderyka i w r. 1750 przybył do Poczdamu. Otrzymał pensję 20 000 fr., wysoki order, tytuł szambelana i mieszkanie w pałacu, z jedynym obowiązkiem poprawiania francuskich wierszy Fryderyka. Pierwszy okres pobytu spłynął rozkosznie, na zabawach, gawędach filozoficznych, wzajemnej admiracji. Z czasem dwa charaktery mające zanadto wiele cech podobnych zaczęły się ścierać; z obu stron padały słówka trudne do zapomnienia, a powtarzane przez usłużnych dworaków; stosunki stały się naprężone, aż w końcu przyszła konieczność zerwania. W r. 1753, Wolter, zrzekłszy się pensji, zwróciwszy klucz szambelański, opuszcza Prusy rozczarowany, rozgoryczony, nękanym jeszcze na granicy państwa dokuczliwościami króla. To była jego ostatnia szkoła życia; nie chce już odtąd żadnych, choćby złoconych kajdan, chce żyć wyłącznie u siebie i dla siebie. Osiedla się zrazu w Szwajcarii, w pobliżu Genewy; później, kiedy mu dokuczył nieco purytanizm szwajcarski, nabywa piękne dobra Ferney, położone w pasie granicznym, częścią we Fran-

cji, częścią w Szwajcarii. Na gruncie francuskim może uprawiać u siebie ulubione widowiska teatralne, które były kamieniem obrazy dla surowych Genewczyków; na wolną zaś ziemię szwajcarską może schronić się w każdej chwili, w razie niebezpiecznego podmuchu ze sfer francuskiego rządu. Na własnym tedy „dworze” pewnego rodzaju, w słynnych Délices, a potem w Ferney, spędzi ostatnie dwadzieścia parę lat życia, te, z których utrwali się dla przyszłych pokoleń wizerunek i legenda Woltera.

Istotnie, osobliwym jest zjawiskiem żywotność, jaką rozwija Wolter w tej ostatniej fazie, między sześćdziesiątym a osiemdziesiątym z górą rokiem. Jest to w całym jego życiu epoka najbardziej może czynna, najbujniejsza, w której cały kapitał nagromadzonej wiedzy, myśli, poglądów, doświadczeń, spożytkowuje dla celów doraźnej działalności i agitacji. Przez lat dwadzieścia zdoła ten niespożyty starzec utrzymać w pół-rozbawioną, w pół-zgorszoną Europę w ciągłym napięciu, dając jej co dnia coś nowego, a zawsze związanego z palącymi spra-

wami współczesności. Prócz olbrzymiej korespondencji, która w owym czasie miała znaczenie daleko wybiegające poza prywatną wymianę myśli, idą w świat z siedziby filozofa niezliczone ilości tzw. pasztecików Woltera, broszurek, dialogów, powiastek, „katechizmów filozoficznych”, kolportowanych oczywiście bezimiennie, ale w których cała Europa domyślała się ręki autora. Wolter nie gardził żadnym środkiem; cieszyły go i obiegające plotki z drobnych wydarzeń jego domowego życia, nie cofał się też przed ohydną nieraz polemiką z lada jakim przeciwnikiem, z której obie strony wychodziły umazane błotem. Niewyczerpany tym jeszcze Wolter rozwija działalność praktyczną, stwarza dokoła siebie cały dwór, kolonie, fabryki, buduje dobrobyt otaczającej go ludności, rzuca się wszędzie, gdzie mu się nadarza sposobność bronić prześladowanych, zwłaszcza gdy chodzi o fanatyzm religijny. Wrodzona skłonność do pieniactwa dodaje mu zapału i wytrwałości w tych kampaniach, z których najgłośniejsza sprawa Cala-

sów⁶ budzi przez kilka lat entuzjazm w całej Europie. Ta działalność ostatnich lat życia zdobywa Wolterowi poniekąd to, czego, przy całym rozgłosie, brakło mu po trochu zawsze, tj. szacunek publiczny. Podróż jego do Paryża w r. 1778 jest olbrzymią apoteozą za życia; ale osiemdziesięcioletni starzec nie podolał tym wzruszeniom, zbyt mocnym na zwątlone siły; umiera, do ostatnich chwil przed zgonem zajęty jeszcze pracą nad historycznym *Słownikiem języka francuskiego*, którego projekt przedkłada Akademii.

Po Wolterze pozostał rozgłos jego imienia, które stało się godłem pewnego typu i kierunku umysłowości; natomiast z ogromnej puścizny piśmienniczej żywego pozostało niewiele. Jak często się zdarza, te dzieła, do których naj-

⁶*sprawa Calasów* — sprawa Jeana Calas, hugenoty, oskarżonego w 1762 r. o zamordowanie swego syna, Marc-Antoine'a zamierzającego rzekomo przejść na katolicyzm (Marc-Antoine najprawdopodobniej popełnił samobójstwo lub padł ofiarą napadu); ojca połamano kołem dla uświetnienia uroczystości dwudziestej rocznicy rzezi hugenotów, z syna uczyniono katolickiego świętego-męczennika, jego młodszego brata, Pierre'a zmuszono do konwersji na katolicyzm, wszystkich zresztą członków rodziny dotknęły represje; w związku z tą sprawą Voltaire napisał *Traktat o tolerancji* w 1763 r., a w 1765 r. doprowadził do rehabilitacji Jeana Calasa przez fr. parlament. [przypis edytorski]

większą przywiązywał wagę i najwięcej w nie włożył twórczego wysiłku, najmniej mu się wypłaciły; bardziej przetrwały inne, kreślone od niechcienia, w weselu ducha i beztrosce. Martwą jest dzisiaj *Henriada*; jego tragedie znaczą raczej upadek niż wyżynę francuskiego teatru. Z poglądów historycznych i filozoficznych wiele, bardzo wiele weszło w krew pokoleń, przyczyniając się potężnie do dalszej ewolucji myśli ludzkiej; same jednak dotyczące dzieła postarzały się i zbladły. Na wskroś czytelną pozostała do dziś olbrzymia korespondencja Woltera, jak również jego „powiastki filozoficzne” ujawniające w żywym swoim toku artyzm bardzo odrębny i swoisty. Wzór tych powiastek, *Kandyd*, pozostał dotąd najautentyczniejszym arcydziełem.

Jeżeli Balzac nazwał swój olbrzymi cykl powieściowy *Komedią ludzką*, to temu mniejszemu cyklowi powiastek Woltera można by snadnie nadać miano „Teatru marionetek”. Życie wewnętrzne wszystkich występujących w nim figur sprowadzone jest rozmyślnie do kilku au-

tomatycznych poruszeń, niemal tików; mechanizm sznureczków, które nimi poruszają, jest dziecinnie prosty, a spoza maleńkiej scenki wychyla się bez ceremonii ironicznie uśmiechnięta twarz wół-rozbawionego, wół-zgorzkniałego starca, pociągającego kolejno te nitki. Takiej właśnie, a nie innej metody wymagał snąć przeważający tutaj — jak w całym dziele XVIII wieku — *dydaktyzm* Woltera; pisarzowi nie tyle tu chodzi o malowanie życia w jego bogactwie i różnorodności kształtów, ile o zestawienie szeregu faktów drobnych i celowo wyłuskanych z wszelkiej obsłonki w ten sposób, aby z nich wynikało jasno nawet dla najbardziej uprzedzonych i ślepych, do jakiego stopnia ludzkością rządzą niedorzeczność, szaleństwo i przesąd (przesąd: oto hasło dnia!). Wolter nie jest zbyt oryginalnym myślicielem; większość myśli jego to obiegowa moneta *filozofii* tzw. *encyklopedystów*; ale celuje on jak nikt inny w sztuce ładowania pojęć „łopatą do głowy” i to do głów najtwardszych zazwyczaj, bo koronowanych. Kogokolwiek raziłaby owa dziecinna nie-

raz dla nas symplifikacja, jaką posługują się pisarze XVIII w., ten niech pamięta, że „filozofia” była w owej epoce we Francji kościołem wojującym, żądnym nawracania i zdobywania prozelitów, że tym samym musiała szukać metod najspodobniejszych do praktycznego działania; dalej, że zwracała się przede wszystkim do możnych panów, zawsze niezbyt pochopnych do mózgowego wysiłku, oraz do kobiet (olbrzymia rola kobiet i ich salonów w umysłowości ówczesnej!). Znalazła, nad własne spodziewanie, trzeciego, również nadspodziewanie wdzięcznego czytelnika i odbiorcę: tj. masy ludu, które właśnie dzięki temu niezmiernemu uproszczeniu chłonęły chciwie nową naukę i niebawem wyciągnęły z niej najdalsze konsekwencje. Czytamy dziś te pisemka jak niewinne gawędy dla dorastającej młodzieży; ale pamiętajmy, że w swoim czasie one były tym dynamitem, który wywołał eksplozję jedną z największych w dziejach świata; że autor pod grozą wygnania lub turmy nie wazył się położyć na nich

swego imienia, a niejeden drukarz i kolporter przyplacił głową ich rozpowszechnianie.

Twórczym jest Wolter w zakresie stylu i języka. Ten tok opowiadania, wartki, zwinny, przejrzysty; to zwięzłe przedstawienie kolei faktów, na pozór suche, w istocie bardzo soczyste; to zdanie, krótkie, jasne, wolne od tak nużących nieraz zakrętasów XVIII w. — to zdobycz Woltera i przejście do dobrej prozy dziewiętnastowiecznej. Niejeden z wybornych późniejszych pisarzy, jak Merimée, Anatol France, nasunie nieraz na pamięć styl Woltera.

Kandyd jest satyrą na optymistyczną filozofię Leibniza będącą wówczas w modzie; Wolter używa tu bardzo zręcznie argumentu *ad hominem*⁷, sprowadzając rzecz z wysokości metafizycznych na ziemię i wydobywając siłą kontrastu efekty nieodpartego komizmu. Filozof Pangloss, który wobec walących się dokoła nieszczęść utrzymuje wciąż, że „wszystko jest naj-

⁷*ad hominem* (łac.) — dosł. do człowieka; argument *ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania odnoszący tezy rozumowania do konkretnej osoby. [przypis edytorski]

lepsze na najlepszym ze światów”, stał się przyszłościową postacią. Ale nie tylko przeciw filozofii Leibniza wymierzone jest ostrze satyry; niemniej zwraca się ono przeciw tym, którzy, prawiąc o nieskończonej dobroci Opatrzności, nie tylko głusi są na niedole ludzi, ale jeszcze ich w imię dobrotliwych niebiosów przymnażają. Wolter, jak to podobno lekarze stwierdzili, co rok w rocznicę nocy św. Bartłomieja⁸ miał gorączkę! Zaciekłość religijna, zaboron urodzenia, gorączka złota, fanatyzm, okrucieństwo, tysiąc szaleństw, które poruszają człowiekiem, defilują tu przed nami.

Jeżeli wierzyć *Wyznaniom* Russa⁹, geneza *Kandyda* była następująca. Wstrząśnięty wiadomością o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, Wolter napisał poemat pod tytułem *Na ruinę Lizbony*. Rousseau, jak pisze, „uderzony, iż widzi tego biednego człowieka, przywalonego, aby tak

⁸noc św. Bartłomieja — dokonana w Paryżu z 23 na 24 sierpnia 1572 r. rzeź, której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (fr. kalwinów) na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji; krwawą rozprawę z heretykami pochwalili papież Grzegorz XIII, złożył też specjalne podziękowania Katarzynie Medycejskiej jako inicjatorce zajęć. [przypis edytorski]

⁹Russa — właśc. Rousseau. [przypis edytorski]

rzec, pomyślnością i sławą, jak gorzko wciąż deklamuje przeciw nędzom życia i znajduje ustawicznie, że wszystko jest złe, powziął szalony pomysł, aby mu przemówić do duszy i udowodnić mu, że wszystko jest dobre”. Napisał doń list, na który Wolter przyrzekł mu odpowiedź; ta odpowiedź ukazała się po kilku latach, był nią *Kandyd*.

Powiastek napisał Wolter kilkanaście; wszystkie przypadają na późny okres jego życia; niektóre kreślił jako starzec z górą osiemdziesięcioletni. Czytając zwłaszcza te ostatnie, niepodobna oprzeć się uczuciu podziwu dla żywotności tego umysłu, dla gorącej miłości ludzkości, jaką czuć nawet pod najbardziej gorzkimi sarkazmami tego starca. W wielu z tych powiastek przeważa agitacyjna i wroga inwektywa przeciw dogmatom i metodom katolicyzmu, w myśl osławionego okrzyku: *Ecrasons l'infâme*¹⁰! Tendencję tę można odnaleźć u Woltera wszędzie, jest jego obsesją, i w niektórych pismach brzmi ona może zbyt napastliwie, wy-

¹⁰*ecrasons l'infâme* (fr.) — zniszczmy tę hańbę. [przypis edytorski]

łącznie i ciasno. Ale znowuż pamiętajmy, że niepodobna o tych sprawach sądzić wedle naszych czasów; że Wolter widział jeszcze dokoła rzeczy, na które wzdrygała się jego dusza i jego nerwy nowożytnego człowieka, i że takie sprawy jak owa słynna „sprawa Calasa”, niewinnie straconego i łamanego kołem, stanowią wiekuistą hańbę ludzkości. Obok tego piekącego wówczas problemu, obok niemniej krzyczącej o reformy kwestii ekonomicznej, w powiastkach tych przeważa nuta ogólnofilozoficzna i te zagadnienia, które prawdopodobnie po wieczne czasy będą zaprzętały myślącą ludzkość. Interesującą jest u Woltera nie tyle odpowiedź na te zagadnienia, ile sposób, w jaki je stawia: żywy, ciekawy, zabawny. A jeżeli z tego „chaosu jasnych myśli” (*chaos d'idées claires*), jakim nazywa Woltera jeden z krytyków, zechcemy wyłowić jego najszczerzą, najbardziej osobistą konkluzję, to będzie nią może owo zakończenie *Kandyda*, głoszące, dość zgodnie z ostatnią fazą życia samego pisarza, iż ostateczną mądrością jest — „uprawiać swój ogródek”. Tylko że

„ogródkiem” Woltera było — i może na szczęście dla nas — rzucać przez całe życie kamienie w ogródki cudze...

Kraków, w sierpniu 1917.

JAK KANDYD CHOWAŁ SIĘ W PIĘK- NYM ZAMKU I JAK GO STAMTĄD WYGNANO

W Westfalii¹¹, w zamku barona de Thunder-ten-tronckh, żył młody chłopiec, którego natura obdarzyła charakterem najłagodniejszym w świecie. Fizjonomia odzwierciadlała jego duszę. Posiadał dość zdrowy sąd o rzeczach, przy dowcipie¹² niezmiernie prostym; mniemam, iż z tej przyczyny dano mu imię Kandyda¹³. Starszy słudzy podejrzewali, że jest synem siostry barona oraz pewnego zacnego i godnego szlachcica z sąsiedztwa, którego ta panna uparcie wzbra-

¹¹*Westfalia* — Wolter, prawdopodobnie dla jakichś osobistych wspomnień, darzył Westfalię szczególną antypatią. [przypis tłumacza]

¹²*dowcip* (daw.) — inteligencja. [przypis edytorski]

¹³*Kandyd* — z fr. *candide*: naiwny, szczery, czysty. [przypis edytorski]

niała się zaślubić, ponieważ mógł się wywieść ledwie z siedemdziesięciu jeden pokoleń, reszta zaś drzewa genealogicznego gubiła się gdzieś w odmęcie czasów.

Baron był jednym z najpotężniejszych panów w Westfalii, zamek jego bowiem posiadał drzwi i okna. Główna komnata strojna była nawet dywanami. Zebrawszy wszystkie psy z obejścia, można było w potrzebie utworzyć coś na kształt sfory; chłopcy stajenni byli masztalerzami, miejscowy wikary wielkim jałmużnikiem. Wszyscy tytułowali barona „Jego Dostojnością” i śmiali się z jego conceptów.

Pani baronowa, która ważyła około trzystu pięćdziesięciu funtów¹⁴, zażywała z tej przyczyny wielkiego poważania; czyniła honory domu z godnością jednającą jej tym większy szacunek. Córka, Kunegunda, licząca siedemnaście wiosen, była rumiana, świeża, pulchna i apetyczna. Syn okazywał się we wszystkim godny

¹⁴*funt* — tzw. funt paryski wynosił 0,489 kg. [przypis edytorski]

ojca. Preceptor¹⁵ Pangloss¹⁶ był wyrocznią domu, a mały Kandyd słuchał jego nauk z ufnością właściwą jego wiekowi i naturze.

Pangloss wykladał tajniki metafizyko-teologo-kosmolo-nigologii. Dowodził wprost cudownie, że nie ma skutku bez przyczyny i że na tym najlepszym z możliwych światów zamek JW. Pana barona jest najpiękniejszym z zamków, pani baronowa zaś najlepszą z możliwych kasztelanek.

— Dowiedzione jest — powiadał — że nic nie może być inaczej; ponieważ wszystko istnieje dla jakiegoś celu, wszystko, z konieczności, musi istnieć dla najlepszego celu. Zważcie dobrze, iż nosy są stworzone do okularów: dlatego mamy okulary. Nogi są wyraźnie stworzone po to, aby były obute, dlatego mamy obuwie. Kamienie są na to, aby je ciosano i budowano z nich zamki; dlatego Jego Dostojność pan baron ma bardzo piękny zamek: największy baron w okolicy musi mieć najlepsze

¹⁵*preceptor* — wychowawca, nauczyciel. [przypis edytorski]

¹⁶*Pangloss* — imię utworzone z gr. *pan*: wszystko i *glossa*: język, mowa. [przypis tłumacza]

mieszkanie. Świnie są na to, aby je zjadać; dlatego mamy wieprzowinę przez cały rok. Z tego wynika, iż ci, którzy twierdzili, że wszystko jest dobre, powiedzieli głupstwo; trzeba było rzec, że wszystko jest najlepsze.

Kandyd słuchał uważnie i wierzył w prostocie ducha; panna Kunegunda wydawała mu się bowiem bardzo urodziwa, mimo iż nigdy nie odważył się jej tego wyznać. Wnioskował, iż po szczęściu urodzenia się baronem de Thunder-ten-tronckh, drugim stopniem szczęścia jest być panną Kunegundą; trzecim widywać ją co dzień; czwartym zaś słuchać mistrza Panglossa, największego filozofa w okolicy, a tym samym na całej ziemi.

Jednego dnia Kunegunda, przechadzając się wpodle¹⁷ zamku po małym lasku, który nazywano parkiem, ujrzała w gęstwinie doktora Panglossa, jak dawał lekcję eksperymentalnej fizyki pokojówce jej matki, fertycznej brunetce, bardzo ładnej i niesrogiej. Ponieważ panna Kunegunda miała z natury wielką cieka-

¹⁷*wpodle* — podług, wzdłuż. [przypis edytorski]

wość do nauk, przyglądała się z zapartym oddechem owym kilkakroć ponawianym doświadczeniom; ujrzała jasno przekonywującą argumentację doktora, przyczyny i skutki i wróciła do domu wzruszona, zadumana, wskroś przenikniona chęcią poświęcenia się naukom. Myślała przy tym, że ona mogłaby snadnie być skutecznym argumentem dla młodego Kandyda, on zaś nawzajem dla niej.

Spotkała Kandyda wracając do zamku i poczerwieniała; Kandyd poczerwieniał również. Rzekała mu przerywanym głosem „dzień dobry”; Kandyd odpowiedział, nie wiedząc sam, co mówi. Nazajutrz po obiedzie, kiedy wstawano od stołu, Kunegunda i Kandyd znaleźli się za parawanem; Kunegunda upuściła chusteczkę, Kandyd ją podniósł; wzięła go niewinnie za rękę; chłopiec ucałował niewinnie rękę panienki z żywością, uczuciem, wdziękiem nie do opisania; usta ich się spotkały, oczy zapłonęły, kolana zaczęły drżeć, ręce zabłąkały się. Baron Thunder-ten-tronckh przechodził koło parawanu i widząc tę przyczynę i ten skutek, wypędził Kan-

dyda z zamku paroma kopniakami w pośladki. Kunegunda zemdląła; kiedy przyszła do siebie, otrzymała silny policzek od baronowej; tak wszystko zmąciło się w najpiękniejszym i najmilszym z możebnych zamków.

JAK KANDYD DOSTAŁ SIĘ MIĘDZY BUŁGARÓW

Kandyd, wypędzony z raju ziemskiego, szedł długo, nie wiedząc dokąd, płacząc, wznosząc oczy do nieba, obracając je często ku najpiękniejszemu z zamków, który zawierał najpiękniejszą z baronówien. Położył się bez wieczery w szczerym polu, w bruździe między zagonami; śnieg padał wielkimi płatami. Nazajutrz przemarznięty do szpiku Kandyd zawlókł się do sąsiedniej wsi noszącej miano Valberghoff-trarbk-dikdorff bez grosza, umierając z głodu i znużenia. Zatrzymał się smutno u wrót gospody. Dwaj ludzie błękitno ubrani zwrócili nań oczy.

— Patrz, kamracie — rzekł jeden — doskonale zbudowany chłopak; ręczę, że ma przepisaną miarę.

Podeszli i zaprosili uprzejmie Kandyda na obiad.

— Panowie — rzekł Kandyd z uroczą skromnością — świadczycie mi wiele zaszczytu, ale nie mam czym zapłacić za siebie.

— Och, panie — rzekł jeden z błękitnych — osoby pańskiej powierzchowności i zalet nie płacą nigdy za nic: czyż nie posiadasz pięciu stóp i pięciu cali wzrostu?

— Tak, panowie, w istocie, to moja miara — odparł z ukłonem.

— Och, drogi panie, siadaj z nami; nie tylko wyrównamy za ciebie rachunek, ale nie ścierpimy, aby człowiekowi takiemu jak pan miało kiedykolwiek braknąć pieniędzy; toć pierwszym obowiązkiem ludzi jest pomagać sobie wzajem.

— Macie słuszność — odparł Kandyd — toż samo powiadał mistrz Pangloss: widzę, że w istocie wszystko jest jak najlepiej.

Proszą, aby przyjął kilka talarów; bierze i chce wystawić oblig; nie przyjmują, siadają z nim do stołu.

— Powiedz, czy kochasz tkliwie...

— Ach, tak — odpowiedział — kocham tkliwie pannę Kunegundę.

— Nie — odparł jeden z nieznajomych — pytamy, czy kochasz tkliwie króla Bułgarów¹⁸?

— Ani trochę — odpowiedział — nie widziałem go na oczy.

— Jak to! ależ to czarujący monarcha; trzeba wypić jego zdrowie.

— Och, bardzo chętnie, owszem.

Pije.

— Wystarczy — powiadają mu — oto jesteś ostoją, podporą, obrońcą, bohaterem Bułgarów; los twój zapewniony, sława niezawodna.

Wkładają mu natychmiast kajdany na nogi i prowadzą go do pułku. Kazał mu się obracać w prawo, w lewo, brać broń na ramię,

¹⁸król Bułgarów — to król pruski Fryderyk II; Bułgarzy: Prusacy; Abarowie: Francuzi. Cała anegdota stanowi aluzję do wojny siedmioletniej. [przypis tłumacza]

zdejmować, mierzyć, strzelać, podwajać krok i sypią mu trzydzieści kijów; nazajutrz wykonywa to samo mniej niezdarnie i dostaje tylko dwadzieścia; trzeciego dnia rzepią mu tylko dziesięć, a towarzysze patrzą nań jak na młody fenomen.

Kandyd, oszołomiony, nie pojmował jeszcze zbyt dobrze profesji bohatera. Pewnego pięknego dnia wiosennego wpadło mu do głowy puścić się na przechadzkę. Kroczył swobodnie przed siebie w mniemaniu, iż jest to przywilejem rodzaju ludzkiego jak i bydłęcego posługiwać się własnymi nogami wedle upodobania. Nie zrobił ani dwóch mil, kiedy dopadło go czterech innych sześciostopowych bohaterów: wiążą go i prowadzą do więzienia. Spytano go wedle form prawnych, czy woli przejść trzydzieści sześć razy przez różgi całego pułku, czy też otrzymać naraz dwanaście kul w mózgowicę. Próżno przedkładał, iż każdy człowiek posiada wolną wolę i że on osobiście nie życzy sobie ani tego, ani tego; trzeba było wybierać. Owóż, mocą owego daru boskiego, który na-

zywa się wolnością, namyślił się przejść trzydzieści sześć razy przez różgi: odbył dwie takie przechadzki. Pułk liczył dwa tysiące ludzi; to wyniosło cztery tysiące różeg, które od karku do pośladków obnażyły mu wszystkie mięśnie i nerwy. Gdy przyszła chwila trzeciej przechadzki, Kandyd przywiedziony do ostateczności poprosił jako o łaskę, aby mu raczono strzelić w łeb; uzyskał ten fawor; zawiązują mu oczy i każą klęknąć. W tejże chwili przejeżdża król Bułgarów, pyta o zbrodnię delikwenta; że zaś był to król obdarzony niepospolitym geniuszem, zrozumiał ze wszystkiego, co usłyszał o Kandydzie, że młody ten metafizyk bardzo jest nieświadomy spraw tego świata; jakoż ułaskawił go ze wspaniałomyślnością, którą będą wysławiać wszystkie gazety po wszystkie wieki. Dzielny chirurg uleczył Kandyda w trzy tygodnie za pomocą maści przepisanych przez Dioskorydesa. Miał już nieco skóry i mógł chodzić, kiedy król Bułgarów wydał bitwę królowi Abarów.

JAK KANDYD UMKNAŁ Z ARMII BUŁGARÓW I CO MU SIĘ PRZY- TRAFIŁO

Nie można sobie wyobrazić nic równie pięknego, sprawnego, świetnego, równie dobrze wyćwiczonego jak obie armie. Trąby, piszczałki, oboje, bębny, armaty, tworzyły harmonię, jakiej nie słyszano ani w piekle. Zrazu armaty obaliły po sześć tysięcy ludzi z każdej strony; następnie strzelanina uprzątneła z najlepszego ze światów dziewięć do dziesięciu tysięcy hultajów, którzy zanieczyszczali jego powierzchnię. Bagnet również uporał się z paroma tysiącami: wszystko razem mogło sięgać jakich trzydziestu tysięcy dusz. W czasie tych heroiczych jatek, Kandyd, który trząsał się jak szczerzy filozof, ukrył się, jak mógł, najtroskliwiej. Wreszcie, gdy obaj królowie kazali śpiewać, każdy w swoim obozie, *Te Deum*, powziął postanowienie, aby się udać gdzie indziej roztrząsać problemy przyczyn i skutków. Okraczając całe sterty trupów i umierających, dotarł do są-

siedniej wioski; zastał kupę popiołów; była to wieś abarska, którą Bułgarzy palili, wedle kanonów prawa publicznego. Tu pokłuci ranami starcy patrzyli, jak żony ich pozarzynane konały w męczarniach, tuląc dzieci do zakrwawionych piersi; tam dziewczyny z porozpruwanymi brzuchami, nasyciwszy naturalne popędy bohaterów, wydawały ostatnie tchnienie; inne, wpół spalone, krzyczały, aby je dobito. Mózgi wały się po ziemi obok poucinanych rąk i nóg.

Kandyd umknął, co miał tchu, do dalszej wioski: należała do Bułgarów i bohaterowie abarscy obeszlili się z nią tak samo. Wciąż stąpając po drgających członkach lub po zwęglonych ciachach, wydostał się wreszcie poza pole bitwy, niosąc w tornistrze nieco zapasów i nie zapominając ani na chwilę o pannie Kunegundzie. Wiwenda skończyła się właśnie, kiedy dotarł do Holandii; ale, ponieważ słyszał, iż jest to kraj bogaty i chrześcijański, nie wątpił, że znajdzie przyjęcie równie dobre jak ongi w zamku

barona, nim go wygnano stamtąd za sprawą pięknych oczu Kunegundy.

Zwrócił się do kilku poważnych obywateli z prośbą o jałmużnę; odpowiedzieli jednomyślnie, że, jeśli zechce dalej uprawiać to rzemiosło, będą zmuszeni oddać go do domu poprawy, iżby się nauczył przyzwoitości.

Zwrócił się następnie do człowieka, który dopiero co wobec wielkiego zgromadzenia rozprawił godzinę o miłosierdziu¹⁹. Ów spojrzawszy nań z ukosa i rzekł:

— Co ty tu robisz? czy bawisz tu dla dobrej przyczyny?

— Nie ma skutku bez przyczyny — odparł skromnie Kandyd — wszystko wiąże się łańcuchem konieczności i dąży do najlepszego celu. Trzeba było, aby mnie wygnano z pobliza panny Kunegundy i abym przeszedł dwa razy przez różgi; tak samo trzeba, bym prosił o chleb, póki nie będę mógł nań zapracować; nie mogło być inaczej.

¹⁹człowieka, który (...) rozprawił o miłosierdziu — chodzi o pastora protestanckiego. [przypis tłumacza]

— Mój przyjacielu — rzekł mówca — czy wierzysz, że papież jest antychrystem?

— Nie słyszałem jeszcze o tym — odparł Kandyd — ale czy jest, czy nie jest, ja nie mam chleba.

— Nie wart go jesteś — rzekł tamten — precz, nędzniku, precz, łotrze, nie zbliżaj się do mnie póki życia.

Żona mówcy wystawiła głowę przez okno i na widok człowieka, który wątpił, iż papież jest antychrystem, wypróżniła mu na łeb pełny... O, nieba! do jakichż wybryków posuwa się żarliwość religijna u dam!

Pewien człowiek, który nie był ochrzczony, poczciwy anabaptysta²⁰ imieniem Jakub, ujrzał, w jak okrutny i haniebny sposób potraktowano jednego z jego braci, istotę o dwóch nogach bez pierza, obdarzoną duszą; zaprowadził go do siebie, umył go, dał mu chleba i piwa, obdarował go dwoma florenami, ofiarował się nawet zatrudnić go w swoich fabrykach

²⁰*anabaptysta* — członek powstałej w XIX w. w Niemczech grupy wyznaniowej, która żądała m. in. powtórnego chrztu w wieku dojrzałym. [przypis tłumacza]

perskich tkanin, które wyrabia się w Holandii. Kandyd, padając niemal na twarz przed dobroczyńcą, wykrzyknął:

— Dobrze powiadał mistrz Pangloss, że wszystko w świecie dzieje się najlepiej; pańska dobroć wzruszyła mnie o wiele bardziej niż okrucieństwo jegomości w czarnym płaszczu oraz jego małżonki.

Nazajutrz przechadzając się, spotkał nędzara całego okrytego wrzodami, z martwymi oczyma, ze stoczonym²¹ końcem nosa, z wykrzywioną gębą, z czarnymi zębami, ochrypłym głosem, dręczonego okrutnym kaszlem i wypluwającego po jednym zębem przy każdym napadzie.

JAK KANDYD SPOTKAŁ SWEGO DAWNEGO MISTRZA FILOZOFII, DOKTORA PANGLOSSA, I CO Z TEGO WYNIKŁO

Kandyd, bardziej jeszcze przejęty współczuciem niż grozą, oddał przerażliwemu nędzarzowi dwa

²¹*stoczony* — tu: zgniły. [przypis edytorski]

floreny poczciwego anabaptysty. Widmo popatrzyło nań uważnie, zalało się łzami i padło mu na szyję. Kandyd cofnął się przerażony.

— Ach! — rzekł nędzarz do drugiego nędzarza — nie poznajesz już swego drogiego Panglossa?

— Co słyszę, to ty, ukochany mistrzu? ty, w tym okrutnym stanie! cóż za nieszczęście cię spotkało? czemu nie jesteś już w najpiękniejszym z zamków? co się stało z panną Kunegundą, perłą dziewic, arcytworem przyrody?

— Słabo mi — rzekł Pangloss.

Natychmiast Kandyd zawiódł go do domu anabaptysty, gdzie dał mu kawałek chleba; kiedy zaś Pangloss pokrzepił się nieco:

— I cóż — spytał — z Kunegundą?

— Umarła — odparł tamten.

Słyszając to, Kandyd zemdlał: przyjaciel ocucił go trochę lichego octu, który znalazł się przypadkiem w izbie. Kandyd otworzył oczy:

— Kunegunda umarła! Och, najlepszy ze światów, gdzieżeś jest? Ale z czego umarła? czyż-

by z tego, iż widziała, jak ojciec jej wygania mnie z zamku nogą?

— Nie — rzekł Pangloss — rozpruli jej brzuch żołnierze bułgarscy, nagwałciwszy się jej wprzód, ile wlażło; roztrzaskali głowę baronowi, który chciał jej bronić; baronową pokrajali na kawałki; mego biednego pupila spotkał los podobny jak siostrę; co się zaś tyczy zamku, nie pozostał ani kamień na kamieniu, ani jednej stodoły, ani barana, ani kaczki, ani drzewa. Ale pomszczono nas wspaniale, Abarowie bowiem uczynili toż samo w sąsiednim zamku należącym do szlachcica bułgarskiego.

Słyszając to Kandyd ponownie zemdlał; następnie przyszedłszy do siebie i powiedziawszy wszystko, co miał do powiedzenia, zapytał o przyczynę i skutek i o *wystarczającą rację*, która doprowadziła Panglossa do tak żalosnego stanu.

— Niestety — rzekł tamten — miłość: miłość, pocieszycielka rodzaju ludzkiego, zachowawczyni świata, dusza wszystkich czujących istot, tkliwa miłość.

— Ach — rzekł Kandyd — poznałem i ja tę miłość, ową władczynię serc, duszę naszej duszy; przyniosła mi tylko jednego całusa i dwadzieścia kopniaków w siedzenie. W jaki sposób ta piękna przyczyna mogła sprawić w tobie tak żałosny skutek?

Pangloss odparł w tych słowach:

— O, drogi Kandydzie! znałeś Pakitę, subretkę dostojnej baronowej: zakosztowałem w jej ramionach słodczy raj; ale stały się one źródłem piekielnych mąk, które mnie oto trawią: była nimi skażona do szpiku; może umarła od nich! Pakita otrzymała ten podarek od uczonego franciszkanina, który dotarł aż do źródła, miał go bowiem od starej hrabiny, która otrzymała go od kapitana kawalerii, który zawdzięczał go margrabinie, która dostała go od pazia, który otrzymał go od jezuitę, który w czas swego nowicjatu posiadał go w prostej linii od jednego z towarzyszy Krzysztofa Kolumba. Co do mnie, nie udzielię go już nikomu, bo umieram.

— O Panglossie! — wykrzyknął Kandyd — cóż za osobliwa genealogia! zali nie diabeł był jej protoplastą?

— Wcale nie — odparł ów wielki człowiek — była to rzecz nieodzowna na najlepszym ze światów, *składnik konieczny*; gdyby Kolumb nie nabył na wyspie Ameryckiej tej choroby, która zatruwa źródło płodzenia, często udaremniając samo płodzenie, i która jest najoczywiściej sprzeczna z wielkim celem przyrody, nie mielibyśmy ani czekolady ani koszenili; a trzeba jeszcze zauważyć, że do dziś na kontynencie choroba ta jest naszą specjalnością, jak spory teologiczne. Turcy, Indianie, Persowie, Chińczycy, Syjamczycy, Japończycy nie znają jej jeszcze; ale istnieje *wystarczająca* racja, aby ją poznali z kolei w ciągu następnych wieków. Na razie, uczyniła ona cudowne postępy wśród nas, a zwłaszcza w owych armiach złożonych z poczciwych, dobrze wytresowanych rekrutów, które rozstrzygają o losach państw. Można twierdzić stanowczo, iż kiedy trzydzieści tysięcy ludzi walczy w regularnej bitwie przeciw drugiej

armii tej samej siły, po każdej stronie znajduje się około dwudziestu tysięcy dotkniętych francą.

— To cudowne — rzekł Kandyd — ale trzeba się leczyć, mistrzu.

— W jaki sposób? — odparł Pangloss — nie mam ani szeląga, mój przyjacielu: na całej zaś powierzchni kuli ziemskiej nikt ci nie puści krwi ani nie wsunie lewatywy, o ile mu nie zapłacisz, albo o ile ktoś inny nie zechce zapłacić za ciebie.

Te ostatnie słowa zrodziły w Kandydzie postanowienie: rzucił się do nóg miłosiernego Jakuba i odmalował tak wzruszająco stan przyjaciela, iż pocziwiec nie zawahał się przygarnąć doktora Panglossa; dał go leczyć swoim kosztem. Dzięki kuracji Pangloss postradał tylko jedno oko i jedno ucho. Pisał dobrze i doskonale znał arytmetykę. Anabaptysta Jakub powierzył mu prowadzenie ksiąg. Po upływie dwóch miesięcy, zmuszony udać się do Lizbony w sprawach handlowych, zabrał na okręt obu filozofów. Pangloss wytłumaczył mu, jako wszystko

w świecie dzieje się możliwie najlepiej. Jakub nie był tego zdania.

— Musieli ludzie — rzekł — zepsuć cokolwiek naturę; nie urodzili się wszak wilkami, a stali się wilkami. Bóg nie dał im ani armat 24-go kalibru, ani bagnetów, oni zaś sporządzili sobie bagnety i armaty, aby się uśmiercać wzajem. Mógłbym przytoczyć również bankructwa oraz trybunały, które zagarniają mienie bankrutów, aby zeń wyzuć wierzycieli.

— Wszystko to jest nieodzowne — odparł jednooki doktor — niedole poszczególne składają się na powszechne dobro; tym samym im więcej jest nieszczęść poszczególnych, tym bardziej całość jest dobra.

Gdy tak rozumował, ściemniło się, wiatry zadęły ze wszystkich stron naraz i tuż pod samym portem okręt stał się igraszką najstraszliwszej burzy.

BURZA, ROZBICIE, TRZĘSIENIE ZIEMI, JAKO TEŻ INNE PRZYGO- DY DOKTORA PANGLOSSA, KAN- DYDA I ANABAPTYSTY JAKUBA

Połowa podróżnych osłabionych, dławionych nie-
pojętą męczarnią, w jaką kołysanie okrętu wpra-
wia nerwy i wszystkie humory cielesne wstrzą-
sane w najsprzecznieszych kierunkach, nie mia-
ła nawet siły troszczyć się o bezpieczeństwo.
Druga połowa wydawała okrzyki i wznosiła mo-
dły; żagle poszły w strzępy, maszty w drzazgi,
dno się rozpukło. Pracował kto mógł, jeden
nie rozumiał drugiego, nikt nie kierował pracą.
Anabaptysta pomagał trochę przy sterze, sto-
jąc na pomoście; jakiś majtek, wściekły, ude-
rzył go z całych sił i rozciągnął go na pokła-
dzie, ale od ciosu, jaki mu wymierzył, sam do-
znał tak gwałtownego wstrząsu, iż wypadł na
łeb ze statku. Tak wisiał zaczepiony o kawa-
łek złamanego masztu. Dobry Jakub śpieszy
z pomocą, pomaga mu wgramolić się z po-
wrotem i z wielkiego wysiłku stacza się w mo-

rze w oczach tegoż majtka, który pozwala mu zginać, nie racząc nawet nań spojrzeć. Kandyd zbliża się, widzi swego dobroczyńcę, jak zjawia się jeszcze raz na fali i zanurza się w niej na zawsze. Chce się rzucić za nim w morze: filozof Pangloss wstrzymuje go, dowodząc, iż Zatokę Lizbońską stworzono umyślnie w tym celu, aby anabaptysta w niej utonął. Gdy to udowodniał *a priori*, okręt rozszczepia się i pęka; wszystko ginie z wyjątkiem Panglossa, Kandyda i nieludzkiego majtka, który dał utonąć cnotliwemu anabaptyście; hultaj dopłynął szczęśliwie do brzegu, dokąd też Pangloss i Kandyd dostali się na belce.

Skoro trochę przyszli do siebie, powędrowali do Lizbony; zostało im nieco pieniędzy, przy pomocy których mieli nadzieję uratować się od głodu, ocalawszy tak szczęśliwie z burzy.

Ledwie stanęli w mieście, płacząc nad śmiercią dobroczyńcy, uczuli, że ziemia drży im pod stopami²²; morze wznosi się i bałwani w por-

²²uczuli, że ziemia drży im pod stopami — Trzęsienie ziemi w Lizbonie nastąpiło dn. 1 listopada 1755; towarzyszyły mu straszliwe pożary i sceny łupiestwa. Po-

cie, krusząc okręty stojące na kotwicy. Kłęby ognia i dymu napęlniają ulice i rynki; domy walą się, dachy osuwają się na fundamenty, a fundamenty rozsypują się w gruzy: trzydzieści tysięcy mieszkańców wszelkiego wieku i płci znajduje śmierć pod ruinami. Majtek powiada, pogwizdując i klnąc pod nosem:

— Można tu będzie coś zarobić przy tej okazji.

— Jaka może być *wystarczająca* racja tego fenomenu? — pytał Pangloss.

— To już chyba koniec świata! — wykrzyknął Kandyd.

Majtek pędzi niezwłocznie między ruiny, naraża się na śmierć, aby znaleźć nieco pieniędzy, znajduje je, zagarnia, upija się, po czym jeszcze odurzony winem kupuje uścisk pierwszej dziewczki spotkanej na gruzach domów, wśród umierających i umarłych. Wśród tego Pangloss ciągnie go za rękaw:

chłonęło blisko 20 000 ofiar. Wolter napisał z przyczyny tego wypadku poemat, który dał powód do polemiki listowej z Janem Jakubem Rousseau. Kandyd jest ostatecznym zamknięciem tej polemiki, którą obszernie wzmiankuje Rousseau w swoich *Wyznaniach*. [przypis tłumacza]

— Mój przyjacielu — mówił — niedobrze sobie poczynasz; *chybiasz powszechnemu rozumowi*, chwila nie jest zgoła po temu.

— Do kroćset kaduków — odparł tamten — jestem majtek rodem z Batawii; zdeptałem cztery razy krucyfiks w czterech podróżach do Japonii²³; dobrześ się wybrał, człeku, ze swoim powszechnym rozumem!

Parę odłamków zraniło Kandyda; legł na ulicy, przysypany gruzem. Mówił do Panglosa:

— Przez litość! postaraj się o trochę wina i oliwy; umieram.

— Owo trzęsienie ziemi, to nie żadna nowość — odparł Pangloss — miasto Lima w Ameryce uległo w zeszłym roku takiemuż wstrząśnieniu; te same przyczyny, ten sam skutek; niezawodnie musi się ciągnąć żyła siarki pod ziemią od Limy do Lizbony.

— To wielce prawdopodobne — odrzekł Kandyd — ale, na Boga, trochę oliwy i wina.

²³*zdeptałem cztery razy krucyfiks w czterech podróżach do Japonii* — Holendrzy w XVII w. w Japonii dla ułatwienia sobie handlu zgodzili się „podeptać krzyż” i wyprzeć się chrześcijaństwa. [przypis tłumacza]

— Jak to prawdopodobne? — odparł filozof — twierdzę, że to rzecz udowodniona.

Kandyd stracił przytomność, Pangloss zaś przyniósł nieco wody z pobliskiej studni.

Nazajutrz znalazłszy wśród gruzów jakieś prowianty, skrzepili się nieco. Następnie wzięli się po równi z drugimi do pracy, aby ulżyć doli pozostałych przy życiu mieszkańców. Paru obywateli, którym użyczili pomocy, zaprosiło ich na obiad, ot, na jaki można się było zdobyć wśród takiej katastrofy. Posiłek był smutny; biesiadnicy skraplali chleb łzami; ale Pangloss pocieszył ich, upewniając, iż nie mogło być inaczej:

— Wszystko to — powiadał — jest możliwe najlepiej: jeżeli bowiem wulkan jest w Lizbonie, nie mógł być gdzie indziej; nie jest bowiem możebne, aby rzeczy nie były tam gdzie są, wszystko bowiem jest dobrze.

Mały, czarniawy człowieczek, zauszniak Inkwizycji, a sąsiad Panglossa przy stole, ozwał się uprzejmie:

— Widocznie łaskawy pan nie wierzy w grzech pierworodny; jeśli bowiem wszystko jest najlepiej, nie było ani upadku, ani kary.

— Wasza Ekscelencja raczy łaskawie darować — odparł Pangloss jeszcze uprzejmiej — upadek człowieka i przekleństwo wchodziły nieodzownie w skład najlepszego z możliwych światów.

— Zatem szanowny pan nie wierzy w wolną wolę? — rzekł ów konfident.

— Wasza Ekscelencja wybaczy — rzekł Pangloss — wolność może istnieć wraz z nieodzowną koniecznością; *albowiem* było konieczne, abyśmy byli wolni; *albowiem*, ostatecznie, wolność określona [jest] przeznaczeniem...

Pangloss nie skończył mówić, kiedy konfident dał znak podczasem, który mu nalewał szklanekę wina Porto czy też Oporto.

JAK UCZYNIONO PIĘKNE *autodafé*²⁴, ABY ZAPOBIEC TRZĘSIENIOM ZIEMI I JAK KANDYDOWI WYCHŁOSTANO ZADEK

Po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło trzy czwar-
te Lizbony, mędracy owej krainy nie znaleźli
skuteczniejszego środka przeciw całkowitej ru-
inie, jak dać ludowi piękne *autodafé*. Uniwer-
sytet w Coimbre orzekł, iż widowisko kilku
osób spalonych uroczyście na wolnym ogniu
jest niezawodnym sekretem przeciwko trzęsie-
niu ziemi.

W myśl tego zapatrywania pochwycono ja-
kiegoś Biskajczyka, któremu dowiedziono, iż
zaślubił swą kumę, oraz dwóch Portugalczy-
ków, którzy, jedząc kuraka, oddzielili tłustość²⁵:
również związano po obiedzie doktora Panglos-

²⁴*autodafé* — istotnie, *auto-dafé* miało miejsce 20 czerwca 1756 [*auto-da-fé* (z portug.: akt wiary), uroczystość kończąca proces inkwizycyjny osób oskarżonych o herezję, czary i in. odstępstwa od religii katolickiej, polegająca na publicznym wyznaniu winy, skruchy i deklaracji wiary katolickiej, po niej następowała egzekucja; Red. WL]. [przypis tłumacza]

²⁵*jedząc kuraka, oddzielili tłustość* — podstawa oskarżenia przez inkwizycję o praktykowanie judaizmu. [przypis edytorski]

sa i jego ucznia Kandyda, jednego za to, że mówił, drugiego, że przysłuchiwał się z potakującą miną. Zaprowadzono obu, każdego oddzielnie, do nader cienistych mieszkań, w których nigdy nie ma przyczyny uskarżać się na zbytek słońca. W tydzień później ustrojono obu w *san-benito*²⁶ i ozdobiono im głowy mitrami z papieru: mitra i *san-benito* Kandyda pomalowane były w płomienie odwrócone, diabły zaś były bez ogonów i pazurów; natomiast diabły Panglossa posiadały pazury i ogony, a płomienie strzelały ku górze. Tak odziani szli w procesji i wysłuchali wzruszającego kazania, któremu towarzyszyły uczone śpiewy. Kandyda oćwiczono rytmicznie, w takt melodyj. Biskajczyka i dwóch nieboraków, którzy nie chcieli jeść szmalcu, spalono, Panglossa zaś powieszono, mimo że to nie było w zwyczaju. Tegoż samego dnia ziemia zatrzęsa się na nowo²⁷ z przerażającym łoskotem.

²⁶*san-benito* — żółty płaszcz podobny krojem do habitów zakonu św. Benedykta, w który ubierano ofiary Inkwizycji. [przypis tłumacza]

²⁷*ziemia zatrzęsa się na nowo* — istotnie, w r. 1756 zdarzyły się ponowne trzęsienia ziemi. [przypis tłumacza]

Kandyd, przerażony, oszołomiony, odurzony, cały zakrwawiony i drżący, powiadał sam do siebie: „Jeżeli to jest najlepszy z możliwych światów, jakież są inne? mniejsza jeszcze, gdyby mnie tylko oćwiczono, toż samo zdarzyło mi się u Bułgarów; ale, o drogi Panglossie! największy z filozofów, trzebaż, bym patrzył, jak dyndasz, nie wiadomo za co! o, drogi anabaptysto, najlepszy z ludzi, trzebaż było ci utonąć w porcie! o, panno Kunegundo! perło dziewic, trzebaż, aby ci rozpruto żołądek!

Wlókł się z miejsca kaźni, ledwie trzymając się na nogach, napomniany, oćwiczony, rozgrzeszony i pobłogosławiony, kiedy zbliżyła się doń jakaś staruszka i rzekła:

— Synu, bądź dobrej otuchy i chodź ze mną.

JAK PEWNA STARUSZKA ZAOPIEKOWAŁA SIĘ KANDYDEM I JAK ODNALAZŁ PRZEDMIOT SWEGO KOCHANIA

Kandyd nie nabrał wprawdzie otuchy, ale udał się za staruszką do lepianki: dała mu słoik tłustości, aby się natarł, zostawiła mu jeść i pić; wskazała łóżko skromne, ale dość czyste; obok łóżka znalazła się odzież.

— Jedz, pij, śpij — rzekła — i niech Najświętsza Panna z Atiochii, Jego Dostojność św. Antoni z Padwy i Jego Dostojność św. Jakub z Compostelli mają cię w swej opiece! wrócę jutro.

Kandyd, wciąż silnie zdziwiony wszystkim, co widział i co wycierpiał, a jeszcze więcej miłosierdziem staruszki, chciał ucałować jej rękę.

— Nie moją rękę trzeba ci całować — rzekła stara — wrócę jutro. Nasmaruj się, jedz i śpij.

Mimo tylu nieszczęść Kandyd zjadł i usnął. Nazajutrz stara przynosi mu śniadanie, ogląda

grzbiet, naciera inną jeszcze maścią; przynosi następnie obiad; wraca o zmroku i przynosi wieczerzę. Nazajutrz dopełnia znowuż tych samych obrządków.

— Kto jesteś? — pyta wciąż Kandyd — kto cię natchnął taką dobrocią? jak ci odwdzięczyć?

Dobra kobieta nie odpowiadała nic. Wróciła nad wieczorem, ale bez prowiantów.

— Pójdź ze mną — rzekła — i nie mów ani słowa.

Bierze go pod ramię i idzie z nim przez pole, mniej więcej ćwierć mili: przybywają do ustronnego domku, otoczonego ogrodem i kanałami. Staruszka puka do małych drzwiczek. Otwierają; prowadzi Kandyda ukrytymi schodkami do złoconego gabinetu, sadza go na adamaszkowej kanapie, zamyka drzwi i odchodzi. Kandyd miał uczucie, że śni: dotychczasowe życie zdało mu się snem złowrogim, obecna zaś chwila snem rozkosznym.

Stara zjawia się niebawem, z trudem podtrzymując drugą kobietę o wyniosłej postaci,

drżącą na całym ciele, lśniąca od drogich kamieni i okrytą zasłoną.

— Zdejm ten welon — rzekła stara.

Młody człowiek zbliża się; podnosi welon nieśmiałą ręką. Co za chwila! co za niespodzianka! zdaje mu się, iż widzi Kunegundę; widzi ją w istocie, to ona! Siły go opuszczają, nie może wymówić słowa, pada jej do nóg. Kunegunda osuwa się na kanapę. Stara skrapia ich trzeźwiącą wódką, odzyskują zmysły, mowę: zrazu padają przerywane słowa, krzyżują się pytania, odpowiedzi, westchnienia, łzy, okrzyki. Stara zaleca im, aby robili mniej hałasu, i zostawia ich samych.

— Jak to, to ty — rzekł Kandyd — żyjesz, odnajduję cię w Portugalii! Nie zgwałcono cię zatem? nie rozpruto ci żołądka, jak mi zaręczał Pangloss?

— Owszem — odparła piękna Kunegunda — ale nie zawsze się umiera od tych dwóch przykrości.

— Ale ojca i matkę zabito?

— Niestety, tak — rzekła Kunegunda, płacząc.

— A brat?

— Brata także.

— I skąd wzięłaś się w Portugalii? jak dowiedziałaś się, że ja tu jestem? jakim zbiegiem okoliczności kazałaś mnie sprowadzić do tego domu?

— Opowiem po kolei — rzekła dama — ale wprzód ty opowiedz mi wszystko, co ci się przygodziło od czasu naszego niewinnego pocałunku oraz kopniaka, który otrzymałeś w zamian.

Kandyd z głębokim uszanowaniem poddał się jej woli; mimo iż jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia, mimo że głos jego był słaby i drżący, a krzyż pacierzowy dolegał mu jeszcze, opowiedział z największą prostotą wszystko, czego doznał od chwili rozłączenia. Kunegunda wznosiła oczy do nieba: zrosiła łzami śmierć dobrego anabaptysty i Panglossa; po czym rzekła w tym sensie do Kandyda, który nie tracił ani słowa, pozerając ją przy tym oczami:

HISTORIA KUNEGUNDY

Leżałam w łóżku i spałam spokojnie, kiedy spodobało się niebu zesłać Bułgarów do naszego pięknego zamku Thunder-ten-tronckh. Zamordowali ojca i brata, matkę pokrajali na kawałki. Olbrzymi Bułgar wysoki na sześć stóp widząc, iż przejęta grozą straciłam przytomność, zabrał się do gwałcenia. To mnie ocuciło; odzyskałam zmysły, zaczęłam krzyczeć, szamotać się, gryźć, drapać, chciałam wydrzeć oczy Bułgarowi, nie wiedząc, iż to wszystko jest rzecz uświęcona zwyczajem. Brutal zadał mi w lewe biodro pchnięcie, od którego mam jeszcze znak.

— Och, pokażesz mi, prawda? — rzekł prostoduszny Kandyd.

— Pokażę — rzekła Kunegunda — ale idźmy dalej.

— Idźmy dalej — odparł Kandyd.

Kunegunda podjęła w te słowa:

Wszedł kapitan bułgarski, ujrzał mnie całą we krwi oraz żołnierza nie krępującego się bynajmniej jego obecnością. Kapitan rozgnie-

wany tym, iż cham okazuje mu tak mało uszanowania, zabił go z miejsca na mym ciele. Następnie kazał mnie opatrzeć i zawiódł jako brankę wojenną na kwaterę. Prałam mu tych kilka koszul, które posiadał, gotowałam strawę i, trzeba przyznać, przypadłam mu wielce do gustu. Co do mnie, nie zapieram się, że był to bardzo dobrze zbudowany mężczyzna i że miał skórę delikatną i białą; zresztą umysł słabo rozwinięty, mało filozoficzny: znać, iż nie chowany przez doktora Panglossa. Po upływie trzech miesięcy roztrwoniwszy wszystko, co posiadał i sprzykrzywszy mnie sobie, sprzedał mnie Żydowi nazwiskiem don Issachar, który trudnił się handlem w Holandii i Portugalii, a przy tym namiętnie lubił kobiety. Ten Żyd pokochał mnie gorąco, ale nic nie mógł wskórać; oparłam mu się skuteczniej niż bułgarskiemu żołnierzowi: osoba z honorem może być zgwałcona raz, ale cnota jej hartuje się od tego. Aby mnie obłaskawić, Żyd pomieścił mnie w tym pałacyku. Dotąd myślałam, że nie ma na ziemi

nic równie pięknego jak zamek Thunder-ten-tronckh; poznałam, że się myliłam.

Pewnego dnia na mszy ujrzał mnie Wielki Inkwizytor; przyglądał mi się pilnie i kazał mnie powiadomić, że ma ze mną sekretnie do pomówienia. Zaprowadzono mnie do jego pałacu; wyjaśniłam, kim jestem; przedstawił mi, jak niegodne mego stanowiska jest należeć do Izraelity. Zapytano pośrednimi drogami don Issachara, czyby mnie nie odstąpił Jego Eminencji. Don Issachar, który jest bankierem dworu i człowiekiem wielce wpływowym, nie chciał się zgodzić. Inkwizytor zagroził mu maleńkim *autodafé*. W końcu Żyd, przestraszony, wszedł w targ, mocą którego domek i ja mamy być wspólną własnością obu; Żyd zatrzymał dla siebie poniedziałki, środy i sabbat; Inkwizytor inne dni. Już pół roku trwa ten układ. Nie obyło się bez sprzeczek; często bowiem było sporne, czy noc z soboty na niedzielę ma należeć do starego, czy do nowego zakonu. Co do mnie, oparłam się dotychczas

obu i sędzę, że dla tej przyczyny zachowałam tak długo ich miłość.

Otóż, aby odwrócić plagę trzęsienia ziemi i aby zarazem napędzić strachu don Issacharowi, spodobało się Eminencji zainicjować uroczyste *autodafé*, na które zaszczycił mnie zaproszeniem. Dano mi doskonałe miejsce; między mszą a egzekucją roznoszono damom chłodniki. Przyznaję, groza mnie zdjęła, kiedy patrzyłam, jak palono dwóch Żydów i zacnego Biskajczyka, który poślubił swą kumę; ale jakież było moje zdumienie, przestach, pomięszanie, skorom ujrzała postać podobną z oblicza do Panglossa przystrojoną w *san-benito* i w mitrę. Przecierałam oczy, wpatrywałam się uważnie, widziałam, jak go powieszono: omdlałam. Ledwie odzyskała zmysły, ujrzałam ciebie odartego z szat do naga; to był już szczyt zgromy, przerażenia, boleści, rozpaczy. Powiem ci szczerą prawdę, masz skórę jeszcze bielszą i jeszcze delikatniejszej maści niż u kapitana Bułgarów. Widok ten podwoił uczucia, jakie mnie dławily, pożerały. Wydałam krzyk, chciałam wo-

łać: „Stójcie, barbarzyńcy!” ale głos mi zamarł, zresztą krzyki byłyby daremne. Kiedy już skończono cię chłostać, ja wciąż mówiłam sobie: „Jak to możebne, aby miły Kandyd i roztropny Pangloss znaleźli się w Lizbonie, jeden po to, aby otrzymać sto batogów, drugi, aby go powieszono na rozkaz Inkwizytora, którego ja jestem kochanką? Zatem Pangloss zwodził mnie okrutnie, kiedy powiadał, iż wszystko dzieje się w świecie jak można najlepiej!”

Tak trwałam wzruszona, zrozpaczona na przemian, to podniecona do ostatnich granic, to znów omdlała z niemocy. W głowie kłębiła mi się okrutna śmierć ojca, matki, brata, brutalność żołdaka, pchnięcie nożem z jego ręki, moja niewola, praktyka kuchenna, kapitan bułgarski, obmierzły Żyd Issachar, niegodziwy Inkwizytor, szubienica Panglossa, straszliwe *miserere* beczane przez nos, podczas gdy cię ćwiczono, a zwłaszcza pocałunek, jaki wymieniliśmy za parawanem w dniu, kiedy widziałam cię ostatni raz. Sławiłam Boga, który sprowadził cię ku mnie poprzez tyle prób. Poleciałam

starej służącej, aby miała pieczę nad tobą i aby cię przywiodła tutaj, skoro tylko zdoła. Wypełniła wiernie rozkaz; zakosztowałam niewypowiedzianej rozkoszy oglądając cię, słysząc cię, mówiąc do ciebie. Ale ty musisz być przeraźliwie głodny, ja również jestem przy apetycie, zacznijmy od wieczerzy.

Siedli do stołu; po wieczerzy zaś ułożyli się na wygodnej kanapie, o której już wspomniano. Spoczywali jeszcze, kiedy nadszedł don Issachar, jeden z panów domu. Był to sabbat. Przyszedł korzystać z praw i dać wyraz tkliwym wynurzeniom miłości.

CO SIĘ PRZYTRAFIŁO KUNEGUNDZIE, KANDYDOWI, WIELKIEMU INKWIZYTOROWI ORAZ ŻYDOWINOWI

Ów Issachar był to najbardziej choleryczny Hebrajczyk ze wszystkich w Izraelu od czasu niewoli babilońskiej.

— Jak to — rzekł — ty suko galilejska, więc nie dość już Inkwizytora? Trzebaż, aby ten obwieś również dzielił się ze mną?

To mówiąc, wyciąga puginał, który miał zawsze przy sobie i, nie przypuszczając, aby przeciwnik mógł być uzbrojony, rzuca się na Kandyda; ale zacny Westfalczyk wraz z całym moderunkiem otrzymał od staruchy i tęgą szpadę. Mimo iż z natury był bardzo łagodnego obyczaju, dobywa szpady i w mig rozciąga Izraelitę trupem u stóp pięknej Kunegundy.

— Panno najświętsza! — wykrzyknęła — cóż się z nami stanie! trup w mieszkaniu! jeśli policja wkroczy, jesteśmy zgubieni.

— Gdyby Panglossa nie powieszono — rzekł Kandyd — byłby nam dał dobrą radę w tej potrzebie, był to bowiem wielki filozof. Skoro go nie ma, poradźmy się starej.

Staruszka była to roztropna osoba; zaczynała właśnie swój wywód, kiedy otwarły się drugie drzwiczki. Była pierwsza po północy, zaczynała się niedziela. Ten dzień należał do wielkiego Inkwizytora. Wchodzi i widzi świeżo

oćwiczzonego Kandyda ze szpadą w dłoni, trupa na podłodze, oszalałą Kunegundę i roztropnie mówiącą staruchę.

Oto, co w tej chwili przeszło przez duszę Kandyda i jaki bieg wzięło jego rozumowanie: „Jeśli ten świątobliwy człowiek wezwie pomocy, każe mnie niechybnie spalić, toż samo uczyni z Kunegundą; on to kazał mnie oćwiczyc bez litości; jest moim rywalem; skoro już wziąłem się do zabijania, nie ma się co i wahać”. Rozumowanie było jasne i szybkie; po czym Kandyd, nie dając inkwizytorowi ochłonać ze zdumienia, przesywa go na wylot i kładzie go na ziemi koło Żydowina.

— Coraz lepiej — rzekła Kunegunda — nie ma już odpuszczenia; jesteśmy wyklęci, ostatnia godzina przyszła na nas! Jakieś ty mógł, człowieku, ty, łagodny jak baranek, zabić w ciągu dwóch minut Żyda i prałata?

— Moja panienko — odparł Kandyd — człowiek zakochany, zazdrosny i oćwiczony przez inkwizycję nie poznaje sam siebie.

Wówczas odezwała się stara i rzekła:

— Stoją w stajni trzy andaluzyjskie konie, są również siodła i rzędy; niechaj dzielny Kandyd je okulbaczy; pani ma perły i diamenty, siadajmy żywo na koń (mimo iż mogą siedzieć tylko na jednym pośladku) i spieszmy do Kadyksu. Czas wymarzony do drogi: nic przyjemniejszego jak podróż w nocnym chłodzie.

Natychmiast Kandyd siodła konie; po czym on, Kunegunda i stara kropią trzydzieści mil jednym tchem. Podczas gdy tak pędzą, święta Hermandad wkracza do mieszkania; chowają Eminencję w nadobnym kościele, Issachara wrzucają do kloaki.

Kandyd, Kunegunda i stara byli już w miasteczku w górach Sierra-Morena i tak rozmawiali w gospodzie.

O TYM, W JAKIEJ NIEDOLI KANDYD, KUNEGUNDA I STARA PRZYBYLI DO KADYKSU I JAK WSIEDLI NA OKRĘT

— Kto mógł ukraść moje dukaty i diamenty? — mówiła z płaczem Kunegunda — z czego będziemy żyć? cóż poczniemy? gdzie znaleźć inkwizytorów i Żydów, aby mi dali inne?

— Niestety — rzekła stara — podejrzewam mocno wielebnego ojca franciszkanina, który wczoraj w Badajos spał z nami; niech mnie Bóg chroni od lekkomyślnego posądzenia, ale wszedł dwa razy do naszej izby i wyjechał o wiele wcześniej.

— Och! — wzdychał Kandyd — zacny Pangloss dowodził nieraz, że dobra ziemi wspólne są wszystkim i że każdy ma do nich równe prawo. Ów franciszkanin winien był tedy, wedle tych zasad, zostawić nam coś na dokończenie podróży. Zatem nie mamy już nic, piękna Kunegundo?

— Ani szeląga — odparła.

— Co począć? — rzekł Kandyd.

— Sprzedajmy jednego konia — rzekła stara — mimo iż mogę siedzieć tylko na jednym pośladku, przycupnę z tyłu za siodłem panienki i dobijemy do Kadyksu.

W tej samej oberży bawił przeor benedyktynów; za tanie pieniądze zgodził się kupić konia. Kandyd, Kunegunda i stara przebyli Lucenę, Chillas, Lebrixe i dotarli wreszcie do Kadyksu. Narządzano tam właśnie flotę i zbierano wojsko, aby poskromić wielebnych ojców jezuitów z Paragwaju, których oskarżano iż podburzyli jedną ze swych hord²⁸, w pobliżu miasta św. Sakramentu²⁹, przeciw królom Hiszpanii i Portugalii. Kandyd, który odbył prakty-

²⁸*podburzyli jedną ze swych hord* — miało to miejsce w r. 1662. [przypis tłumacza]

²⁹*miasto św. Sakramentu* — Jezuita stworzyli w Paragwaju samodzielne państwo teokratyczno-patriarchalne, pozostające w zasadzie pod protektoratem króla Hiszpanii, ale strzegące zazdrośnie swej niepodległości. Ludność państwa doszła do 170 000 nawróconych Indian, których ojcowie jezuita prowadzili istotnie jak dzieci, regulując ich życie aż do najmniejszych szczegółów, zupełnie maszynowo i z wykluczeniem wszelkiej samodzielności. Ustrój państwa był komunistyczny; wszystkie dochody szły do wspólnego skarbu. Jezuita zaspakajali z nich potrzeby mieszkańców, a ogromne zaoszczędzone sumy wysyłali do Europy. [przypis tłumacza]

kę u Bułgarów, zaprezentował przed generałem małej armii swe bułgarskie umiejętności z takim wdziękiem, szybkością, zwinnością, dumą i sprawnością, iż dano mu dowództwo kompanii piechoty. Oto więc jest kapitanem: siada na okręt wraz z Kunegunda, staruchą, dwoma pacholikami i dwoma andaluzyjskimi końmi, które należały niegdyś do Jego Eminencji Wielkiego Inkwizytora.

Podczas całej przeprawy zastanawiali się wiele nad filozofią biednego Panglossa.

— Płyniemy do innego świata — powiadał Kandyd — w nim to bez wątpienia wszystko musi być dobrze; bo trzeba przyznać, że nieraz przychodzi ochota zapłakać nad tym, co się dzieje u nas, zarówno pod fizycznym jak moralnym względem.

— Kocham cię z całego serca — mówiła Kunegunda — ale jeszcze dusza moja zmrożona jest wszystkim, co widziałam, czego doświadczyłam.

— Wszystko będzie dobrze — odpowiadał Kandyd — już to morze nowego świata

lepsze jest niż morza Europy; jest spokojniejsze, wichry mniej zdradzieckie. Z pewnością ten Nowy Świat okaże się najlepszy ze wszystkich możliwych światów.

— Dałby Bóg — mówiła Kunegunda — ale, tam, w moim świecie, byłam tak strasznie nieszczęśliwa, że serce me niemal zamknęło się uczuciu nadziei.

— Skarżysz się — rzekła stara — ach, nie doświadczyłaś takich nieszczęść jak moje.

Kunegunda wybuchnęła śmiechem; wydało jej się bardzo ucieszne, że poczciwa starucha chce się uważać za nieszczęśliwszą od niej.

— Ach — rzekła — moja poczciwa stara, o ile nie zgwałciło cię dwóch Bułgarów, o ile nie otrzymałaś dwóch pchnięć nożem w brzuch, o ile nie splądrowano ci dwóch zamków, nie zamordowano w twoich oczach dwóch matek i dwóch ojców, o ile nie patrzałaś na dwóch kochanków chłostanych podczas *autodafé*, nie zdaje mi się, abyś mogła prześcignąć mnie w tej mierze. Dodaj jeszcze, że urodziłam się baro-

nówną od siedemdziesięciu dwu pokoleń, a przyszło mi być kucharką.

— Drogie dziecko — odpowiedziała stara — nie wiesz, jakie jest moje urodzenie, a gdybym ci pokazała mój tyłek, nie mówiłabyś, jak mówisz i wstrzymałabyś się z sądem.

To odezwanie się obudziło ciekawość Kungundy i Kandyda. Stara zaczęła w te słowa:

HISTORIA STAREJ

Nie zawsze miałam oczy kaprawe z czerwoną obwódką, nos mój nie zawsze stykał się z brodą i nie zawsze byłam służącą. Jestem córką papieża Urbana X i księżniczki Palestryny³⁰. Chowano mnie do czternastego roku życia w pałacu, któremu wszystkie zamki niemieckich baronów nie zdałyby się na stajnię; jedna moja suknia warta była więcej niż wszystkie przepychy Westfalii. Rosłam w urodę, powaby, talenty, pośród uciech, czci i nadziei; budziłam już

³⁰*córką papieża Urbana X i księżniczki Palestryny* — Patrzcie osobliwą dyskrecję autora; nie było dotąd żadnego papieża imieniem Urban X; autor zawahał się dać nieprawą córkę któremukolwiek ze znanych papieży. Co za oględność! co za delikatność sumienia! (Przyp. Woltera). [przypis autorski]

miłość, pierś moja nabierała dojrzałych kształtów: i jaka pierś! biała, twarda, rzeźbiona jak u medycejskiej Wenus! a co za oczy! co za powieki! co za brwi krucze! płomienie strzelały z mych źrenic, gasząc blask gwiazd na niebie, jak zapewniali miejscowi poeci. Służebne, które ubierały mnie i rozbierały, wpadały w zachwyt oglądając mnie i z przodu, i z tyłu; a nie było mężczyzny, który by nie pragnął znaleźć się na ich miejscu.

Zaręczono mnie z panującym księciem Massa-Karrara³¹: cóż za książę! równie piękny jak ja, promieniejący urokiem i słodyczą, świetny dowcipem i rozplómienny miłością; kochałam go tak, jak się kocha pierwszy raz, z bałwochwalstwem, bez opamiętania. Sposobiono już gody; przepych, wspaniałość nie do opisania: nieustające festyny, turnieje, widowiska: całe Włochy fabrykowały na mą cześć sonety, z których ni jeden nie wart był szeląga. Zbliżałam się do radosnej chwili, kiedy stara margra-

³¹*Massa-Karrara* — Księżstwo włoskie na południe od Toskanii. [przypis tłumacza]

bina, która była niegdyś kochanką mego księcia, zaprosiła go na filiżankę czekolady: umarł w niespełna dwie godziny w straszliwych konwulsjach; ale to bagatela. Matka moja w rozpaczy, mimo że o wiele mniej stroskana ode mnie, chciała wyrwać się na jakiś czas z tak złowrogiego miejsca. Miała piękną majątność w pobliżu Gaety; puściliśmy się w drogę na małym statku wyłożonym jak ołtarz św. Piotra w Rzymie. W drodze napadają nas korsarze: żołnierze nasi bronili się obyczajem żołnierzy papieskich; padli na kolana rzucając broń i prosząc korsarzy o absolicję *in articulo mortis*.

Natychmiast odarto ich do naga, również matkę i dworki, i mnie. To rzecz w istocie godna podziwu, zręczność, z jaką ci panowie rozbierają każdego, kto im popadnie w ręce; ale jeszcze więcej zdumiewa mnie, iż wszystkim nam pokładli palec w miejsce, w które my kobiety pozwalamy sobie wkładać zazwyczaj jedynie kankę. Ceremoniał ten wydał mi się bardzo dziwny: oto jaki sąd o rzeczach ma czło-

wiek, który nie wyściubił nosa poza swą parafię. Dowiedziałam się później, że to dlatego, aby się przekonać, czy nie pochowałyśmy tam diamentów; jest to zwyczaj ustalony od niepamiętnych czasów u wszystkich cywilizowanych ludów szukających fortuny na szerokim morzu. Dowiedziałam się, iż kawalerowie Zakonu Maltańskiego nie zaniedbują tego nigdy, ilekroć pojmagają Turków lub Turczynki; jest to punkt prawa narodów, któremu nikt jeszcze nie uchybił.

Nie będę wam opowiadała, jak bolesne jest dla młodej księżniczki, kiedy ją prowadzą wraz z matką jako niewolnicę do Maroko; możecie sobie wyobrazić, cośmy wycierpiały na statku. Matka była jeszcze bardzo piękna: dworki nasze, mimo iż proste dziewczyny, miały więcej uroków niż ich można znaleźć w całej Afryce; co do mnie, byłam wprost czarująca, sama piękność, wdzięk, a przy tym dziewica! Nie byłam nią, co prawda, długo; ten kwiat strzeżony dla księcia Massa-Karrara, stracił listki w uścisku kapitana korsarzy. Był to ohydny Murzyn,

który w dodatku wyobrażał sobie, iż czyni mi wiele zaszczytu. Zaiste, dowiodłyśmy obie z matką wielkiej wytrzymałości, znosząc wszystko, co nam przyszło wycierpieć aż do Maroko! Ale pomińmy szczegóły: są to rzeczy tak pospolite, że nie warto się nad nimi rozwodzić.

Kiedy przybyliśmy do Maroko, kraj pławił się we krwi. Z pięćdziesięciu synów Muleja Izmaela, każdy miał swoje stronnictwo, czego owocem pięćdziesiąt wojen domowych, czarnych przeciw czarnym, czarnych przeciw cętkowanym, cętkowanych przeciw cętkowanym, Mulatów przeciw Mulatom: słowem, nieustająca rzeź w całym mocarstwie.

Ledwieśmy wylądowali, hufiec czarnych z partii przeciwnej stronnictwu naszych korsarzy zjawił się, aby im wydrzeć zdobycz. Stanowiłyśmy, po złocie i diamentach, najcenniejszą część łupu. W naszych oczach rozegrała się walka, jakiej nie widujecie w waszej Europie. Ludzie północy nie mają dość gorącej krwi; nie są tak zaciekli na punkcie kobiet, jak się to powszechnie spotyka w Afryce. Zdaje się, że

wasi Europejczycy mają mleko w żyłach; natomiast ogień, witriol krąży w żyłach mieszkańców Atlasu i sąsiednich krajów. Walczyli z wściekłością lwów, tygrysów i węzów, rozstrzygając orężem, komu mamy przypaść w udziale. Jakiś Maur chwycił moją matkę za prawe ramię, porucznik przytrzymał ją za lewe; żołnierz mauretański ujął ją za jedną nogę, jeden z piratów za drugą. Toż samo wszystkie dziewczęta zaczęło szarpać po czterech żołnierzach. Kapitan osłonił mnie własną pierś; miał jatagan w dłoni i mordował wszystko, co nastęczyło się jego wściekłości. W końcu ujrzałam wszystkie Włoszki z mego orszaku, jak również i matkę, poszarpane, pocięte w kawałki, zmasakrowane przez potworów, którzy wydzierali je sobie. Jeńcy, moi towarzysze, ci, którzy ich pojмали, żołnierze, majtki, pstrokaci, czarni, biali, Mulaci, wreszcie i sam kapitan, wszystko padło bez życia, a ja, umierająca, ległam na stosie trupów. Podobne sceny rozgrywały się, jak wiadomo, na przestrzeni trzystu mil, przy

czym nie opuszczono ani jednej z modlitw codziennych nakazanych przez Mahometa.

Wydobyłam się z wielkim mozolem z ciżby spiętrzonych i krwawiących trupów i zawlokłam się pod drzewo pomarańczowe nad strumieniem; tam padłam zemdlona od grozy, znużenia, przestachu, rozpaczy, wreszcie głodu. Niebawem owładnął mną sen podobniejszy do omdlenia niż do spoczynku. Pograżona w tym stanie osłabienia i beczucia, pomiędzy śmiercią a życiem, uczułam nagle ucisk czegoś poruszającego się na mym ciele; otwarłam oczy i ujrzałam białego przyjemnej powierzchowności, który wzdychał i mruczał między zębami:

— *O, che sciagura d'essere senza coglioni*³²!

DALSZY CIĄG NIESZCZĘŚĆ STARUSZKI

Zdumiona i uszczęśliwiona, iż słyszę rodzinną mowę, zarazem zdziwiona treścią tego wykrzyknika, rzekłam, że istnieją większe nieszczę-

³²*O, che sciagura d'essere senza coglioni* (wł.) — O, cóż za nieszczęście nie mieć jaj. [przypis tłumacza]

ścia niż to, na które się żali; opowiedziałam mu w krótkich słowach o okropnościach, jakie przeszłam, i znowu popadłam w omdlenie. Zaniósł mnie do pobliskiego domu, kazał położyć do łóżka, nakarmić, usługiwał mi, pocieszał mnie, pieścił, powiadał, iż nic nie widział równie pięknego jak ja i że nigdy tyle nie żałował tego, czego mu już nikt nie wróci.

— Urodziłem się w Neapolu — rzekł — kapłoni się tam corocznie dwa do trzech tysięcy dzieci; jedne giną, inne zyskują głos piękniejszy niżli niewieści, niektórzy dochodzą do władztwa krajem³³. Poddano mnie tej operacji z najlepszym skutkiem; zostałem śpiewakiem w kaplicy księżnej Palestryny.

— Mojej matki! — wykrzyknęłam.

— Twojej matki! — zawołał zalewając się łzami — jak to! byłaż byś pani ową młodą księżniczką, którą wychowywałem do szóstego roku i która zapowiadała, że będzie tak piękna jak ty właśnie!

³³niektórzy dochodzą do władztwa krajem — Farinelli (1705–1782) śpiewak włoski, władał formalnie Hiszpanią pod Ferdynandem VI. [przypis tłumacza]

— To ja, ja sama; matka znajduje się o sto kroków stąd, pocięta w kawałki, na stosie trupów...

Opowiedziałam wszystko, co mi się trafiło; on również opowiedział mi swoje przygody; mianowicie, w jaki sposób pewna potęga chrześcijańska wyprawiła go do króla Maroko³⁴, iżby jej imieniem zawarł z tym monarchą traktat, mocą którego potencja owa miała mu dostarczać prochu, armat, okrętów, aby dopomóc do zniszczenia handlu innych chrześcijan.

— Misja moja ukończona — rzekł zbożny eunuch — śpieszę wsiąść na okręt w Ceucie i odwiozę cię do Włoch. *Ma che sciagura d'essere senza coglioni!*

Podziękowałam ze łzami; on zaś zamiast do Włoch zawiózł mnie do Algieru i sprzedał de-jowi. Ledwie mnie tak zapprzedano, kiedy zaraz, która właśnie obiegła Afrykę, Azję, Europę, wybuchła w Algierze z największą wście-

³⁴*pewna potęga chrześcijańska wyprawiła go do króla Maroko* — Podczas wojny sukcesyjnej hiszpańskiej król portugalski wyprawił istotnie do Maroko misję tego rodzaju. [przypis tłumacza]

kłością. Widziałaś pani trzęsienia ziemi, ale czy zdarzyło ci się widzieć morową zarazę?

— Nigdy — odparła baronówna.

— Gdybyś była widziała — podjęła stara — przyznałabyś, że to jest coś o wiele więcej niż trzęsienie ziemi. Choroba ta jest bardzo pospolita w Afryce; uległam jej. Wyobraź sobie, co za los dla córki papieża w piętnastym roku życia, która w ciągu trzech miesięcy doświadczyła nędzy, niewoli, była gwałcona niemal co dzień, patrzyła, jak ćwiartowano jej matkę, poznała głód i wojnę i umierała na dzumę w Algierze! Nie umarłam; ale eunuch i dej, i prawie cały seraj zginęli.

Kiedy groza straszliwej zarazy minęła, sprzedano niewolników de ja. Pewien kupiec nabył mnie i zawiózł do Tunisu; tam sprzedał mnie innemu kupcowi, który znowu odprzedał mnie w Trypoli; z Trypoli sprzedano mnie do Aleksandrii; z Aleksandrii do Smyrny; ze Smyrny do Konstantynopola. Dostałam się w końcu pewnemu adze janczarów, którego wysłano rychło, aby bronił Azowa przeciw Rosjanom.

Aga, który lubił dobrze żyć, zabrał z sobą cały seraj i umieścił nas w forteczce na Palus-Meotides, pod strażą dwóch czarnych eunuchów i dwudziestu żołnierzy. Narznięto obficie Rosjan, ale oni oddali nam z nawiązką: spustoszo Azów ogniem i mieczem³⁵, nie zważając na płeć ani wiek. Utrzymała się jedynie nasza forteczka; nieprzyjaciel zamierzył wziąć nas głodem. Dwudziestu janczarów przysięgło nie poddać się do ostatka. Przywiedzeni do ostateczności musieli zjeść dwóch eunuchów, aby ratować się od pogwałcenia przysięgi. Po upływie kilku dni postanowili zjeść kobiety.

Był z nami pewien imam, bardzo pobożny i miłosierny; ten wygłosił do janczarów piękną orację, w której skłonił ich, aby nas nie zabijali całkowicie.

— Wytnijcie — rzekł — każdej z pań na razie po jednym pośladku, będziecie mieli bardzo smaczną biesiadę; jeśli trzeba będzie powtórzyć, za kilka dni możecie znowuż wyciąć

³⁵*spustoszo Azów ogniem i mieczem* — Rosjanie zdobyli Azów w r. 1696 za Piotra Wielkiego, oddali go na mocy traktatu pokojowego w r. 1711, ale odebrali znowuż w 1739. [przypis tłumacza]

sobie porcję; niebo poczyta wam za dobre tak litościwy uczynek i pewnie doznacie odeń pomocy.

Imam był bardzo wymowny; przekonał ich. Poddano nas tej strasznej operacji; imam przyłożył nam balsam, którym opatruje się dzieci świeżo obrzezane: byliśmy wszystkie wespół żywe.

Ledwie janczarowie uporali się z posiłkiem, jakiegośmy im dostarczyły, Rosjanie wdarli się po pomostach do fortecy: ani jeden janczar nie uszedł. Rosjanie nie zwracali najmniejszej uwagi na nasz stan. Nie masz miejsca na świecie, gdzie by się nie znalazł chirurg francuski: jeden taki, bardzo biegły w swej sztuce, zaopiekował się nami, uleczył nas: i, nie zapomnę tego póki życia, skoro rany moje zablizniły się, uczynił mi pewne wymowne propozycje. Zresztą tłumaczył nam, byśmy się nie martwiły zbyt; upewnił, że podobne rzeczy dzieją się nieraz w czasie oblężenia i że to jest prawo wojenne.

Skoro moje towarzyszki mogły chodzić, przepędzono je do Moskwy; ja przypadłam w udział

le pewnemu bojarowi, który mnie zrobił ogrodniczką i dawał mi po dwadzieścia batogów dziennie; ponieważ jednak w dwa lata później magnatowi temu wraz z trzydziestoma innymi bojarami ucięto głowę z przyczyny jakiejś dworskiej intrygi, skorzystałam z tej przygody i uciekłam. Przewędrowałam całą Rosję; byłam długo służącą w szynkowni w Rydze, potem w Rostoku, Wismarze, Lipsku, Kassel, Utrechcie, Lejdzie, Hadze, Rotterdamie: zestarzałam się w nędzy i hańbie, mając jedynie pół pośladka i pamiętając ciągle, że jestem córką papieża; sto razy chciałam się zabić, ale kochałam jeszcze życie. Ta śmieszna słabostka jest może czymś najbardziej oplakany w naszej naturze; czyż może być co głupszego, niż dźwigać ciężar, który co chwilę chciałoby się zrzucić, mieć wstręt do swego jestestwa i upierać się przy nim; pieścić węża, który nas pożera, póki nie przeżre się aż do serca?

W krajach, przez które los mnie przepędził, i w karczmach, w których służywałam, zdarzyło mi się widzieć niezliczoną mnogość osób

czujących nienawiść do swej egzystencji; ale spotkałam między nimi ledwie dwanaście, które by dobrowolnie położyły koniec swej nędzy: trzech Murzynów, czterech Anglików, czterech Genewczyków i niemieckiego profesora nazwiskiem Robeck³⁶. W końcu dostałam się w służby Żyda Issachara; umieścił mnie u ciebie, piękna panienko; przywiązałam się do ciebie i bardziej byłam przejęta twą dolą niż moją własną. Nie wspomniałabym nawet o swoich nieszczęściach, gdybyś mnie nie podrażniła nieco, i gdyby podczas jazdy okrętem nie było w zwyczaju opowiadać sobie historyjek. Słowem, moja panienko, mam doświadczenie, znam świat; zrób sobie tę przyjemność, wezwij każdego z podróżnych, aby opowiedział swe dzieje; jeśli znajdzie się bodaj jeden który by często nie przeklinał życia, któremu by się nie zdarzyło powiadać sobie w duchu że jest najnieszczęśliwszy z ludzi, wrzuć mnie, proszę, na łeb do morza”.

³⁶*Robeck* — Utopił się w r. 1739. [przypis tłumacza]

JAKO KANDYD MUSIAŁ SIĘ ROZ- STAĆ Z PIĘKNĄ KUNEGUNDA I ZE STARUSZKĄ

Piękna Kunegunda, wysłuchawszy dziejów staruszki, zaczęła się odnosić do niej ze względami należnymi osobie jej urodzenia i stanu. Podjęła propozycję; wezwała wszystkich podróżnych jednego po drugim, aby opowiedzieli swoje przygody. I Kandyd, i ona sama musieli przyznać, że stara ma słuszość.

— Wielka szkoda — rzekł Kandyd — że roztropnego Panglossa powieszono, wbrew obyczajom, podczas *autodafé*; powiedziałby nam wspaniałe rzeczy o niedolach, od których roją się ziemia i morze; ja zaś zdobyłbym się na to, aby mu przedłożyć unizenie niejake wątpliwości.

Gdy każdy kolejno opowiadał swe dzieje, okręt posuwał się naprzód. Wylądowano w Buenos-Aires. Kunegunda, kapitan Kandyd i stara udali się do gubernatora, don Fernanda d'Ibaara y Figueora y Maskarenes y Lampurdos y Su-

za. Pan ów odznaczał się dumą, jaka przystała posiadaczowi tylu imion. Przemawiał do ludzi z najszlachetniejszą wzgardą, zadzierając nos tak wysoko, podnosząc głos tak niemiłosiernie, przybierając ton tak górny i postawę tak wyniosłą, że wszyscy, którzy składali mu pokłony, czuli niewymowną pokusę wyłożenia mu skóry. Dygnitarz ten lubił kobiety do szaleństwa. Kunegunda wydała mu się najpiękniejszą istotą na ziemi. Pierwszą rzeczą, o którą zapytał, było, czy jest żoną kapitana. Ton, jakim zadał pytanie, przestraszył Kandyda: nie śmiał powiedzieć, że jest żoną, ponieważ w istocie nią nie była; nie śmiał powiedzieć, że siostrą, bo nie była nią również, mimo że to wygodne kłamstwo było niegdyś w modzie u starożytnych i mogło się nadać dla współczesnych, dusza jego była zbyt czysta, aby sprzeniewierzyć się prawdzie.

— Panna Kunegunda — odpowiedział — ma zamiar zaszczycić mnie swą ręką i błagamy Waszą Ekscelencję, aby raczyła zezwolić na nasz ślub.

Don Fernando d'Ibaraa y Figueora y Maskarenes y Lampurdos y Suza podkręcił wąsa, uśmiechnął się dwuznacznie i nakazał kapitanowi, aby pośpieszył odbyć przegląd swej kompanii. Kandyd usłuchał; gubernator został z Kunegundą. Wyznał jej swą miłość, zaklął się, iż nazajutrz zaślubi ją w obliczu Kościoła lub też inaczej, wedle tego, jakie będzie życzenie jej wdzięków. Kunegunda poprosiła o kwadrans czasu, aby się mogła skupić, naradzić ze starą i powziąć postanowienie.

Stara rzekła:

— Panno Kunegundo, masz pani siedemdziesiąt dwa pokoleń i ani szeląga; od ciebie jedynie zależy zostać żoną najmocniejszego pana południowej Ameryki, który ma w dodatku bardzo piękne wąsy; tobież przystało bawić się w niedorzeczną wierność? Zgwałcili cię Bułgarczy; Żyd i inkwizytor cieszyli się twymi łaskami; nieszczęście uprawnia człowieka do wielu rzeczy. Przyznaję, iż, gdybym była na twoim miejscu, nie wahałabym się zaślubić gubernatora.

tora oraz tą samą okazją zapewnić los kapitanowi Kandydowi.

Gdy stara przemawiała w ten sposób, z całą roztropnością, jaką daje wiek i doświadczenie, zawinął do portu mały okręcik, wiozący na pokładzie alkada³⁷ i algazilów³⁸; i oto co się okazało:

Stara dobrze odgadła, że to ów franciszkanin ukradł pieniądze i klejnoty w Badajos, wówczas gdy tak spiesznie uciekali z Kandydem. Mnich próbował odprzedać nieco klejnotów złotnikowi. Złotnik rozpoznał własność Wielkiego Inkwizytora. Franciszkanin, nim go powieszono, przyznał się, komu je ukradł; wskazał osoby i kierunek, w którym się udały. Ucieczka Kandyda i Kunegundy była już wiadoma: tropiono ich aż do Kadyksu oraz, nie tracąc czasu, wysłano okręt za nimi. Okręt ten był już w porcie Buenos-Aires. Rozeszła się pogłoska, że przybył alkad i poszukuje morderców wiel-

³⁷*alkad* (z hiszp.) — najwyższy urzędnik miasta; burmistrz. [przypis edytorski]

³⁸*algazil* (z hiszp.) — sędzia. [przypis edytorski]

kiego Inkwizytora. Przezorna staruszka osądziła w jednej chwili położenie.

— Nie możesz uciekać — rzekła do Kunegundy — zresztą nie masz się czego obawiać; nie ty zabiłaś Jego Eminencję. Gubernator kocha cię, nie pozwoli, aby ci się stało co złego; zostań.

Następnie, stara pędzi co tchu do Kandyda:

— Uciekaj — powiada — lub za godzinę będziesz spalony żywcem.

Nie było chwili do stracenia; ale jak rozstać się z Kunegundą i gdzie się schronić?

JAKIE PRZYJĘCIE ZNALEŻLI KANDYD I KAKAMBO U OJCÓW JEZUITÓW W PARAGWAJU

Kandyd wziął z sobą z Kadyksu służącego, jakich spotyka się wielu na wybrzeżach Hiszpanii i w koloniach. Był to ćwierć-Hiszpan, urodzony z Metysa w Tukumanie: bywał już chłopcem na chórze, zakrystianem, majtkiem, mnichem, stręczycielem, żołnierzem, lokajem.

Nazywał się Kakambo i bardzo kochał pana, doświadczywszy jego prawdziwej dobroci. Osiodłał co żywo dwa andaluzyjskie rumaki.

— Dalej, panie, idźmy za radą starej, siadajmy na koń i jedźmy nie oglądając się za siebie.

Kandyd począł ronić łzy:

— O, droga Kunegundo, trzebaż mi cię opuścić w chwili, gdy gubernator miał nam wyprawić wesele! Kunegundo, przywieziona z tak daleka, cóż się z tobą stanie?

— Stanie się, co się ma stać — rzekł Kakambo — kobieta nigdy nie jest w kłopotcie o siebie; Bóg troszczy się o to plemię. Jedźmy.

— Gdzie mnie prowadzisz? dokąd jedziemy? co poczniemy bez Kunegundy? — powiedział Kandyd.

— Na świętego Jakuba z Compostelli! — odrzekł Kakambo — miałeś pan walczyć przeciwko jezuitom, idźmyż walczyć po ich stronie; znam po trosze ten kraj, zawiodę pana do ich kapitana, który zna bułgarską musztrę; czeka cię wielki los. Kiedy człekowi nie wie dzie się

w jednym świecie, może się mu powieść w drugim. Niemała to rozkosz widzieć i przedsiębrać ciągle coś nowego.

— Byłeś już tedy w Paragwaju? rzekł Kandyd.

— Ech, oczywiście! — odparł Kakambo — byłem kuchtą w kolegium Wniebowzięcia i znam mocarstwo ojczulków jak ulice Kadyksu. Cudowna rzecz, to ich królestwo. Ma więcej niż trzysta mil średnicy; podzielone jest na trzydzieści prowincyj. Ojcowie mają tam wszystko, a ludy nic: to arcydzieło rozumu i sprawiedliwości. Co do mnie, nie widzę nic równie boskiego jak *los padres*, którzy prowadzą tu wojnę z królem hiszpańskim i portugalskim, w Europie zaś uznają władzę tych królów; tu mordują Hiszpanów, a w Madrycie wysyłają ich do nieba: po prostu zachwycające! Jedźmy: stanie się pan najszczęśliwszym z ludzi. Cóż za uciechę będą mieli *los padres*, skoro się dowiedzą, że przybywa im rotmistrz, który zna musztrę na sposób bułgarski!

Skoro dotarli do pierwszej linii obronnej, Kakambo powiedział nadciągającej straży, że pewien kapitan pragnie mówić z Jego Eminencją komendantem. Dano znać Wielkiej Gwardii. Oficer paragwajski pospieszył do stóp komendanta udzielić mu tej wiadomości. Przede wszystkim rozbrojono Kandyda i Kakambę; zabrano im również andaluzyjskie wierzchowce. Następnie wprowadzono cudzoziemców między dwa szeregi żołnierzy; na końcu znajdował się komendant, w trójgraniastym kapeluszu, z podkasaną sutanną, ze szpadą u boku, ze szpontonem w dłoni. Dał znak; natychmiast dwudziestu czterech żołnierzy otoczyło nowo przybyłych. Sierżant rzekł przybyszom, iż trzeba zaczekać: komendant nie może z nimi mówić, albowiem wielebny ojciec prowincjał nie pozwala, aby jakikolwiek Hiszpan otworzył usta inaczej niż w jego obecności i aby przebywał w kraju więcej niż trzy godziny.

— Ależ — rzekł Kakambo — pan kapitan, który umiera z głodu podobnie jak ja, nie jest Hiszpanem, jest Niemcem; czy nie mogli-

byśmy tedy pośniadać, czekając na Jego Wielbność?

Sierżant udał się natychmiast do komendanta i zdał mu sprawę z tego oświadczenia.

— Bogu chwała! — rzekł tamten — skoro to Niemiec, mogę się z nim rozmówić; niech go zawiodą do namiotu.

Natychmiast zaprowadzono Kandyda do altany pokrytej zielenią, zdobnej piękną kolumnadą z zielonego i złotego marmuru, oraz klatkami, w których mieściły się papugi, kolibry, rajskie ptaszyny, pantarki i inne co najrzadsze ptaki. Doskonałe śniadanie stało przygotowane w złotych wazach; podczas gdy Paragwajczycy jedli kukurydzę na drewnianych miskach, w szczerym polu, w skwarze słonecznym, wielbny ojciec komendant wstąpił do altany.

Był to piękny młodzieniec, o pełnej twarzy, rumiany i biały, płeć smagła, oko żywe, ucho różowe, wargi pąsowe, mina dumna, ale jakimś odrębnym rodzajem dumy, ani hiszpańskiej ani jezuickiej. Zwrócono Kandydowi i Kakambie broń, którą im wprzód odjęto, jak również an-

daluzyjskie rumaki; Kakambo nasypał im owsa w pobliżu altany, wciąż mając na nie oko z obawy jakiej pułapki.

Kandyd ucałował najpierw kraj szaty komendanta, następnie siedli do stołu.

— Jesteś zatem Niemcem? — rzekł jezuita w tym języku.

— Tak, wielebny ojciec — odparł Kandyd.

Wymawiając te słowa, patrzyli na siebie zdumieni, ze wzruszeniem, którego nie mogli opamiętać.

— Z jakich stron? — spytał jezuita.

— Z plugawej Westfalii — rzekł Kandyd — urodziłem się na zamku Thunder-ten-tronckh.

— O nieba! czy podobna! — wykrzyknął komendant.

— Cóż za cud! — zawołał Kandyd.

— Byłżebyś to ty? — rzekł komendant.

— To niemożliwe — rzekł Kandyd.

Padają sobie w ramiona, ściskają się, leją strumienie łez.

— Jak to! to ty, wielebny ojciec? ty, brat pięknej Kunegundy, ty, zamordowany przez Buł-

garów! ty, syn pana barona! ty, jezuitą w Paragwaju! Trzeba przyznać, że ten świat osobliwą toczy się koleją. O, Panglossie, Panglossie, jakież byłbyś rad, gdyby nie to, iż powieszono cię tak przedwcześnie!

Komendant kazał się usunąć czarnym oraz Paragwajczykom, którzy podawali napitek w kryształowych pucharach. Złożył tysięczne dzięki Bogu i św. Ignacemu; ścisnął Kandyda raz po raz, oblicza ich skąpały się we łzach.

— Byłbyś jeszcze bardziej zdumiony, bardziej rozczulony, gdybym ci rzekł, że panna Kunegunda, siostra twoja, którą mniemałeś zamordowaną, cieszy się najlepszym zdrowiem.

— Gdzie?

— W sąsiedztwie twoim, u gubernatora Buenos-Aires; wylądowałem tam właśnie, aby prowadzić wojnę przeciw wam.

Każde słowo, które dorzucali w tej długiej rozmowie, piętrzyło dziw na dziwie. Cała ich dusza pomykała na język, czaiła się z wyteżoną uwagą w uszach, błyszczała zaciekawieniem w oczach. Jako że to byli Niemcy, zabawiali się

przy stole czas dłuższy, czekając na wielebnego ojca prowincjała; zaczem, komendant tak prawił — wpatrując się z czułością w drogiego Kandyda:

JAKO KANDYD ZABIŁ BRATA KUNEGUNDY

— Na całe życie zostanie mi w pamięci obraz straszliwego dnia, gdy w moich oczach zamordowano rodziców i zgwałcono siostrę. Kiedy Bułgarzy odeszli, nie zdołano odnaleźć tej uroczej istoty; rzucono na jeden wóz matkę, ojca i mnie, dwie służące i trzech zarzniętych chłopczków, aby nas pogrzebać w kaplicy oo. jezuitów, o dwie mile od zamku przodków. Jakiś jezuita pokropił nas święconą wodą; była straszliwie słona; parę kropel dostało mi się do oczu; dobry ojciec spostrzegł, że powieka poruszyła się nieco; położył mi rękę na sercu i uczuł lekkie bicie; zaopiekowano się mną i po upływie trzech tygodni rany zgoiły się bez śladu. Wiesz, drogi Kandydzie, że był ze mnie

ładny chłopiec; wyrosłem na jeszcze ładniejszego; jakoż, wielebny ojciec Krust, superior klasztoru, zapłonał do mnie najtkliwszą przyjaźnią: oblekł mnie w sukienkę braciszka, zaś w jakiś czas potem wysłano mnie do Rzymu. Ojciec generał potrzebował zastępu młodych niemieckich jezuitów. Zwierzchnicy Paragwaju, unikają, o ile mogą, przyjmowania nowicjuszków hiszpańskich; chętniej widzą cudzoziemców, nad którymi bardziej czują się panami. Wielebny ojciec generał uznał mnie zdatnym do pracy w tej winnicy. Puściliśmy się w drogę: jeden Polak, jeden Tyrolczyk i ja. Wkrótce po przybyciu, uczczono mnie rangą diakona i porucznika: dziś jestem pułkownikiem i kapłanem. Gotujemy się dzielnie przyjąć wojska hiszpańskiego króla: ręczę ci, że czeka je ekskomunika i lanie. Opatrzność zsyła cię tu ku naszej pomocy. Ale czy w istocie prawdą jest, że ukochana siostra Kunegunda znajduje się w pobliżu, u gubernatora?

Kandyd upewnił przysięgą, że to najprawdziwsza prawda. Łzy zaczęły im ciec z oczu na nowo.

Baron nie mógł się dosyć naściskać Kandyda; nazywał go bratem, zbawcą.

— Ach — rzekł — być może, drogi Kandydzie, uda się nam razem wkroczyć jako zwycięzcom do miasta i odbić Kunegundę.

— To jest mym najgorętszym pragnieniem — rzekł Kandyd — miałem ją zaślubić i żywię jeszcze tę nadzieję.

— Ty, zuchwalcze? — wykrzyknął baron — ty miałbyś tę bezczelność, aby zaślubić mą siostrę, która liczy siedemdziesiąt i dwa pokoleń! Zaiste, wielki to bezwstyd z twojej strony, mówić mi o podobnym zamiarze!

Słyszając te słowa Kandyd, osłupiał, tak odparł:

— Wielebny ojciec, wszystkie pokolenia całego świata nie mają tu nic do gadania; wy dobyłem twą siostrę z rąk Żyda i inkwizytora, ma względem mnie dosyć zobowiązań, pragnie mnie zaślubić. Mistrz Pangloss powiadał

mi zawsze, że ludzie są równi; słowem, upewniam cię, że ją zaślubię.

— Zobaczymy to, hultaju! — odparł jezuita baron Thunder-ten-tronckh; równocześnie wymierzył mu potężny cios płazem szabli w głowę. W tejże chwili Kandyd dobywa szpady i zatapia ją po rękojeść w brzuchu barona-jezuity; ale, ledwie wydobył jeszcze dymiące żelazo, zaczyna płakać:

— Boże mój, Boże! zabiłem mego dawnego pana, przyjaciela, szwagra; jestem najlepszym człowiekiem w świecie i oto już zgładziłem trzech ludzi, a w tym dwóch księży.

Kakambo, który czuwał na straży pod altaną, nadbiegł.

— Nic nam nie pozostaje jak tylko drogo sprzedać życie — rzekł Kandyd — za chwilę ktoś nadejdzie; trzeba umrzeć z orężem w dłoni.

Kakambo, który widział już nie takie rzeczy, nie tracił bynajmniej głowy: ściągnął z barona sukienkę jezuity, oblekł w nią Kandyda, włożył mu rogatą czapeczkę nieboszczyka i wsa-

dził go na koń. Wszystko odbyło się w jednym mgnieniu oka.

— Ruszajmy w cwał, dobry panie: wszyscy wezmą cię za jezuitę niosącego jakieś rozkazy; minimy granice, nim komu przyjdzie na myśl puścić się za nami.

Ostatnie słowa wymówił już w galopie; pędząc, krzyczał po hiszpańsku:

— Miejsca, miejsca dla wielebnego ojca pułkownika!

CO PRZYGDZIŁO SIĘ WĘDROWCOM Z DWOMA DZIEWCZĘTAMI, DWIEMA MAŁPAMI ORAZ DZIKIM PLEMIENIEM NOSZĄCYM MIAÑO USZAKÓW

Kandyd i jego sługa znaleźli się już poza granicami, a nikt jeszcze w obozie nie wiedział o śmierci Niemca-jezuitę. Przewrotny Kakambo pamiętał o tym, aby zgarnąć do sakwy nieco chleba, czekolady, szynki, owoców i parę miarek wina. Zapuścili się na swych andalu-

zyjskich rumakach w nieznany kraj bez śladu jakiejś drogi. Wreszcie ukazała się ich oczom piękna łąka poprzecinana strumieniami. Podróżni zsiadają, aby popaść wierzchowce. Kankambo namawia pana, aby się pokrzepił, i sam daje przykład.

— Jakże chcesz — powiadał Kandyd — abym jadł szynkę, kiedy oto zabiłem młodego barona i skoro przeznaczeniem moim jest nie oglądać już pięknej Kunegundy? na co mi przedłużać nędzne dni, skoro mam je wlec z dala od niej, w zgryzocie i rozpacz?

Tak powiadając, wziął się wszelako do jeżdżenia. Słońce miało się ku zachodowi. Zbłąkani podróżni usłyszeli jakieś krzyki jak gdyby kobiet. Nie wiedzieli, czy krzyki te wyrażają ból czy radość; ale zerwali się spieszenie, zdjęci niepokojem i przestraszeniem, tak naturalnym u wędrowców w nieznanym kraju. Pokazało się, iż krzyczały dwie nagie dziewczyny, które biegły chyżo skrajem łąki, gdy dwie małpy pomykały za nimi, kąsając je w pośladki. Kandyda zdjęła litość; u Bułgarów nauczył się

strzelać tak celnie, iż umiałby zestrzelić orzech w gęstwinie nie tknąwszy ani listeczka. Chwyta swą hiszpańską dubeltówkę, pociąga za cyngiel i zabija obie małpy.

— Bogu niech będzie chwała, drogi Kakambo! ocaliłem je z wielkiego niebezpieczeństwa: jeśli popełniłem grzech zabijając inkwizytora i jezuitę, okupiłem go w zupełności ratując życie tym dziewczętom. Może to są córy znakomitego rodu: kto wie, ta przygoda gotowa nam wiele pomóc w tym kraju.

Byłby mówił dalej, ale język mu skołczał, skoro ujrzał, jak dziewczęta zaczęły czule ścisnąć nieżywe małpy, oblewać łzami ich ciała i wstrząsać powietrze okrzykami najżywszej boleści.

— Nie spodziewałem się takiej dobroci serca — rzekł wreszcie do Kakamby; tamten zaś odpowiedział:

— Ładnie się pan spisał, drogi panie; zabiłeś oblubieńców tych oto panienek.

— Oblubieńców! czyż podobna? chyba żartujesz, Kakambo; jakże temu dać wiarę?

— Drogi panie — odparł Kakambo — pan się wiecznie wszystkiemu dziwi; czemu zdaje ci się tak szczególne, iż w niektórych krajach mogą istnieć małpy cieszące się względami pięknych dam? toć małpa to ćwierć człowieka, jak ja ćwierć Hiszpana.

— Ach! — odparł Kandyd — przypominam sobie, że słyszałem od Panglossa, jako niegdyś zdarzały się podobne wypadki: z takich krzyżowań (powiada) powstały egipany³⁹, fauny, satyry; wielu znakomitych mędrców starożytności stwierdziło podobne fakta; ale brałem to wszystko za bajki.

— Przekonał się pan teraz — odparł Kakambo — że to szczerą prawdą; widzisz, jak się na to zapatrują osoby, którym wychowanie nie zaszczepiło pewnych uprzedzeń. Ale obawiam się, aby te damy nie ściągnęły nam na głowę kłopotu.

Te roztropne uwagi skłoniły Kandydę, iż opuścił łąkę i zagłębił się w las. Spożył z wiernym Kakambą wieczerzę, po czym obaj, na-

³⁹*egipan* — stwór mitologiczny; rodzaj satyra. [przypis edytorski]

kląwszy do syta inkwizytora, gubernatora i barona, usnęli na posłaniu z mchu. Obudziwszy się, uczuli, że nie mogą się poruszać; a to iż w ciągu nocy Uszaki, mieszkańcy tej krainy, którym poszkodowane damy zdradziły obecność przybyszów, skrępowali ich łykiem. Ujrzeni dokoła siebie z pięćdziesięciu Uszaków, nagich, zbrojnych w strzały, maczugi i siekiery z krzemienia; jedni rozpalali ogień pod ogromnym kotłem, inni gotowali rożen, a wszyscy krzyczeli:

— Jezuita! Jezuita! pomścimy się i podjemy sobie smacznie; na rożen jezuitę; na rożen jezuitę!

— Przepowiadałem, drogi panie — wykrzyknął smutnie Kakambo — że te dziewczuchy spletają nam jakiego figla.

Kandyd, widząc kocioł i rożny, zawołał:

— Z pewnością upieką nas albo ugotują. Ach, co by rzekł mistrz Pangloss, gdyby widział, jaką jest natura ludzka w pierwotnej czystości? Wszystko jest dobre; niech i tak bę-

dzie; ale wyznaję, że bardzo jest ciężko postradać Kunegundę i skończyć na roźnie Uszaków.

Kakambo nie tracił nigdy głowy.

— Nie rozpaczaj pan — rzekł do zgnębionego Kandyda — znam po trosze narzecze tych ludów, pogadam z nimi.

— Nie omieszkaj — rzekł Kandyd — przedstawić im, jak nieludzkim okrucieństwem jest gotować ludzi i jak to jest niechrześcijańskie.

— Panowie — rzekł Kakambo — chcecie zatem skosztować dziś jezuitę? to bardzo pięknie; nic słusniejszego, niż poczynąć sobie w ten sposób z nieprzyjaciółmi. W istocie, prawo naturalne uczy nas zabijać bliźniego; nie inaczej postępuje się na całym obszarze ziemi. Jeśli nie korzystamy z prawa zjadania ich, to dlatego że mamy pod dostatkiem innych smacznych potraw: ale panowie nie posiadacie zapewne tych samych zasobów co my. To pewna, iż lepiej jest zjeść wroga samemu, niż oddawać krukowi i wronom owoc zwycięstwa. Ale, panowie, nie chcielibyście wszak zjadać swoich sprzymierzeńców? Sądzicie, iż na-

wdziejecie na rożen jezuitę, a tymczasem upieklibyście jeno swego obrońcę, wroga waszych wrogów. Co do mnie, urodzony jestem w waszym kraju; ten jegomość jest moim panem: nie tylko nie jest jezuitą, ale dopiero co zgładził jezuitę i te szaty są jego łupem; oto przyczyna omyłki. Aby się przekonać o prawdzie, weźcie jego suknię, zanieście ją na granicę królestwa los padres; dowiedcie się, czy mój pan nie zabił oficera-jezuitę. Zabierze to nieco czasu; ale zawsze starczy go na tyle, aby nas zjeść bez apelacji, jeśli się przekonacie, że skłamałem. Natomiast, jeśli powiedziałem prawdę, zbyt dobrze znacie prawo narodów, obyczaje i kodeksy, aby nas nie ułaskawić.

Mowa ta trafiła Uszakom do przekonania; wyprawili dwóch znaczniejszych ze szczepu, iżby się wywiedzieli o prawdzie. Posłowie wywiązali się z zadania z całą przemyślnością i wrócili niebawem, przynosząc dobre wieści. Uszaki rozwiązali jeńców, podjęli ich najserdeczniej, ofiarowali im własne córki, uczęstowali sma-

kołykami i odprowadzili aż do granic swej dziedziny, krzyząc radośnie:

— Nie jezuita! nie jezuita!

Kandyd nie mógł się uspokoić z podziwu nad sposobem, w jaki odzyskali wolność.

— Cóż za naród! — mówił — co za ludzie! co za obyczaje! gdybym nie był miał szczęścia przekłuć brzucha bratu Kunegundy, zjedzono by mnie do tej chwili bez pardonu. Ale, koniec końców, pierwotna natura jest dobra, skoro ci ludzie nie tylko mnie nie zjedli, ale podjęli serdecznie, upewniwszy się, że nie jestem jezuitą.

JAKO KANDYD I JEGO SŁUGA PRZYBYLI DO KRAJU ELDORADO⁴⁰ I CO TAM UJRZELI

Skoro znaleźli się na granicy Uszaków, Kakambo rzekł:

— Widzisz pan, że ta półkula nie więcej warta od tamtej; wierzaj mi, wracajmy najkrótszą drogą do Europy.

⁴⁰*Eldorado* — kraj złota, legendarna kraina, w której istnienie wierzono w XVI w., mieszcząc ją w okolicy dzisiejszej Wenezueli. [przypis tłumacza]

— W jaki sposób — odparł Kandyd — i dokąd? Jeśli wrócę do kraju, Bułgarzy i Aba-
rowie mordują tam co popadnie; jeśli wrócę
do Portugalii, czeka mnie spalenie; jeśli zosta-
niemy tutaj, możemy być w każdej chwili na-
wdziani na rożen. Ale jak mi opuszczać połą-
c świata, w której mieszka Kunegunda?

— Wracajmy do Kajenny — rzekł Kakam-
bo — znajdziemy tam Francuzów, którzy włó-
czą się po całym świecie; coś nam przecież po-
radzą. Może Bóg ulituje się nad nami.

Nie było łatwą rzeczą dostać się do Kajen-
ny: wiedzieli wprawdzie mniej więcej, w któ-
rą stronę się wziąć, ale góry, rzeki, przepaście,
rozbójnicy, dzicy, wszystko to stanowiło strasz-
liwe przeszkody. Konie popadały ze znużenia,
zapasy wyczerpały się; żywili się cały miesiąc le-
śnym owocem: w końcu trafili na rzeczkę ocie-
nioną kokosami, które podtrzymały ich życie
i nadzieje.

Kakambo, który dawał zawsze rady równie
roztropne jak niegdyś starucha, rzekł:

— Niepodobna dłużej iść, nogi nam omdlewają; ale widzę jakieś próżne czółno. Napelnijmy je kokosami, ułożmy się wygodnie i puśćmy się z prądem; rzeka prowadzi zawsze do jakiegoś zamieszkałego miejsca. Jeśli nie znajdziemy nic miłego, znajdziemy w każdym razie coś nowego.

— Dobrze więc, rzekł Kandyd, zdajmy się na wolę Opatrzności.

Płynęli kilka mil wśród wybrzeży to kwietnych, to jałowych, to równych, to poszarpanych. Rzeka rozszerzała się ciągle; w końcu gubiła się pod sklepieniem straszliwych skał wznoszących się het ku niebu. Podróżni mieli tę odwagę, aby wraz z falą zapuścić się pod sklepienie. Rzeka, ścieśniona w tym miejscu, niosła ich ze straszliwą chyżością i szumem. Po upływie doby ujrzeli na nowo światło; ale czółno strzaskało się o rafy: trzeba było całą milę wlec się od skały do skały. W końcu ujrzeli olbrzymi widnokraj, otoczony niedostępnymi górami. Kraj był uprawny z widoczną troską o rozkosz zarówno jak o pożytek; wszędzie użytecz-

ne łączyło się z przyjemnym. Drogi roily się od pięknych i lśniących pojazdów, ciągnionych chyżo przez duże czerwone barany, które co do szybkości przewyższają najpiękniejsze rumaki Andaluzji, Tetuanu i Mekinezu. W pojazdach tych siedzieli mężczyźni i kobiety osobliwej urody.

— Oto mi kraj — rzekł Kandyd — ładniejszy nieco niż Westfalia.

Ujrzawszy w pobliżu jakąś wioskę, wygramolił się wraz z Kakambą na ład. Kilkoro większych dzieci odzianych podartym w strzępy złotogłowiem grało w palanta; podróżni nasi przypatrywali się im jakiś czas z zaciekawieniem: rakiety ich były dość szerokie, okrągłe, żółte, czerwone, zielone i rzucały szczególny blask. Wędrowców wzięła ochota przyjrzeć się im bliżej: okazało się, iż były ze złota, szmaragdów, rubinów, z których najmniejszy byłby ozdobą tronu Wielkiego Mogoła.

— Bez wątpienia — rzekł Kakambo — te dzieci, to muszą być synowie królewscy: grają tu sobie w palanta.

W tejże chwili zjawił się bakałarz wiejski, aby je zapędzić do szkoły.

— A to — rzekł Kandyd — preceptor królewskiej rodziny.

Urwisy porzuciły natychmiast grę, zostawiając na ziemi rakiety i inne drobiazgi. Kandyd zbiera je, bieży do preceptora i podaje mu je unizenie, dając na migi do zrozumienia, że ich Królewskie Wysokości zapomniały swych cacek ze złota i diamentów. Bakałarz, uśmiechając się, rzucił sprzęt na ziemię, popatrzył chwilę zdziwionym wzrokiem na Kandyda i ruszył dalej.

Mimo to, podróżni zbierali dalej złoto, rubiny i szmaragdy.

— Gdzież my jesteśmy? — wykrzyknął Kandyd. — Dobrze chowają widocznie dzieci królewskie w tym kraju, skoro je uczą gardzić złotem i klejnotami.

Kakambo dziwił się nie mniej od Kandyda. Dotarli wreszcie do najbliższego domostwa: w Europie uchodziłoby za pałac. Ciżba ludzi tłoczyła się u drzwi, a jeszcze większa wewnątrz; sły-

chać było muzykę nad wyraz przyjemną, a zarazem rozchodził się luby zapach potraw. Kakambo zbliżył się do bramy i usłyszał iż rozmawiają po peruwiańsku; był to jego ojczysty język; wszystkim wiadomo, iż Kakambo urodził się w Tukumanie, w miejscowości, gdzie mówiono tylko tym językiem.

— Posłużę panu za tłumacza — rzekł do Kandyda — wejdźmy, to widocznie gospoda.

Natychmiast dwóch chłopców i dwie służące, odziani w złotogłów, z włosiem zaplecionym krasnymi wstążkami, zaprosili ich, aby zajęli miejsce u wspólnego stołu. Podano kilka rodzajów zup, z których każda okraszona była dwiema papugami; dalej gotowanego kondora wążącego z jakie dwieście funtów, dwie małpy pieczone nader delikatnego smaku, trzysta kolibrów na jednym półmisku i sześćset zimorodków na drugim; doskonałe frykasy, przednie ciasta, wszystko na misach rzeźbionych w skalnym kryształ. Chłopcy i dziewczęta obnosili różne napoje sporządzone z trzciny cukrowej.

Goście byli to po największej części kupcy i woźnice, wszyscy wyszukanie grzeczni; zadali Kakambowi parę oględnych i dyskretnych pytań i równie uprzejmie odpowiedzieli sami na jego pytania.

Skoro ukończono biesiadę, Kakambo, zarówno jak Kandyd, mniemając iż najlepiej zapłacą za gościnę, rzucili na stół duże kawały złota zebrane przed chwilą; ale gospodarz i gospodyni wybuchnęli śmiechem i długo trzymali się za boki. W końcu opamiętali się.

— Panowie — rzekł gospodarz — widzimy, że jesteście cudzoziemcami; nieczęsto zdarza się nam gościć obcych. Darujcie, iż zaczęliśmy się śmiać, skoroście nam ofiarowali jako zapłatę kamyki z gościńca. Nie posiadacie zapewne tutejszej monety, ale nie trzeba jej zgola, aby mieć prawo tutaj się pokrzepić. Wszystkie gospody, założone dla dogodności miejscowego handlu, utrzymywane są przez rząd. Tutaj podjedliście bardzo skromnie, bo to jest uboga wioska, ale wszędzie indziej spotkacie się z przyjęciem jakiego jesteście godni.

Kakambo tłumaczył Kandydowi słowa gospodarza, Kandyd zaś słuchał ich z takim samym podziwem i osłupieniem, z jakim przyjaciel mu je powtarzał.

— Cóż za kraj — powiadali obaj — nieznaną reszcie ziemi, gdzie cała natura zda się tak bardzo odmienna od naszej? To snąć ów kraj, gdzie wszystko jest dobrze: bezwarunkowo musi być bodaj jeden taki na świecie. Nie ma co: mimo wszystko, co prawidł mistrz Pangloss, często trzeba mi było zauważyć, że w Westfalii rzeczy szły dość kulawo.

CO UJRZELI W KRAINIE ELDO-RADO

Kakambo zdradził gospodarzowi swą ciekawość, tamten zaś odpowiedział:

— Jestem człowiek bardzo nieuczony i dobrze mi się z tym dzieje; ale mamy tu starca, który żył niegdyś na dworze: to najuczeńszy człek w całym królestwie i bardzo przystępny.

Zaczynając poprowadził Kakambę do starca. Kandyd grał jedynie podrzędną rolę i towarzyszył swemu słudze. Weszli do domostwa bardzo skromnego, brama była srebrna, gzymsy zaś tylko złote, ale obrobione z takim smakiem, iż najbogatsze stiuki nie byłyby ich zacięły. Przedpokój był po prawdzie wykładany jedynie rubinami i szmaragdami; ale gust ich wzoru okupywał nadmierną prostotę.

Starzec przyjął cudzoziemców na sofie wyścielonej pierzem kolibrów i podał im chłodniki w naczyniach rżniętych w diamencie; po czym zaspokoił ich ciekawość w tych słowach:

— Liczę stosiedemdziesiąt i dwa lata i sły-
szalem od nieboszczyka ojca, koniuszego kró-
lewskiego, o nadzwyczajnych przeobrażeniach
krainy Peru, których on był świadkiem. Kró-
lestwo, w którym się znajdujemy, jest dawną
ojczyznę Inkasów; opuścili je bardzo nieroz-
tropnie z zamiarem ujarznienia nowych kra-
jów i w końcu ponieśli śmierć z ręki Hiszpa-
nów.

Ci książęta, którzy zostali w ojczyźnie, byli rozsądniejsi; nakazali, za zgodą narodu, iż żaden mieszkaniec nie wyjdzie nigdy poza granice królestwa; oto co zachowało nam dawną niewinność i szczęście. Hiszpanie mają niejasne wiadomości o tym kraju: nazywają go Eldorado; pewien Anglik, nazwiskiem kawaler Raleigh⁴¹, zbliżył się nawet doń mniej więcej przed stu laty; ale, ponieważ kraj nasz otoczony jest niedostępnymi skałami i przepaściami, byliśmy dotąd bezpieczni od drapieżności narodów Europy, które dziwnie są łase na kamienie i muł naszej ziemi i które, aby je osiąść, wymordowałyby nas do ostatniego.

Rozmowa trwała długo: przedmiotem jej była forma rządu, obyczaje, kobiety, publiczne widowiska, sztuki. Wreszcie Kandyd, który zawsze miał zamiłowanie do metafizyki, zapytał przez Kakamba, czy mieszkańcy tego kraju mają jakąś religię.

Starzec zarumienił się nieco.

⁴¹ *Walter Raleigh* (1552–1618) — awanturniczy podróżnik angielski. [przypis tłumacza]

— Jak to! — rzekł — możecie wątpić? Czy bierzecie nas za niewdzięczników?

Kakambo spytał nieśmiało, co za religię wyznają. Starzec poczerwieniał znowu:

— Czyż mogą być dwie? — zawołał. — Mamy, jak sądzę, religię całego świata; uwielbiamy Boga od wieczora do rana.

— Czy uwielbiacie tylko jednego Boga? — rzekł Kakambo, wciąż służąc za tłumacza wątpliwościom Kandyda.

— Oczywiście — rzekł starzec — że nie ma ich dwóch, trzech ani czterech. Przyznam się, że ludzie z waszych stron zadają dosyć osobliwe pytania.

Kandyd nie przestawał zasypywać pytaniami dobrego starca; chciał wiedzieć, w jaki sposób zanoszą się prośby do Boga w Eldorado.

— Nie zanosimy ich wcale — rzekł dobry i czcigodny mędrzec — nie mamy go o co prosić, dał wszystko, czego nam trzeba; dziękujemy mu bez przerwy.

Kandyd ciekaw był zobaczyć kapłanów: spytał, przez Kakambę, gdzie się znajdują. Dobry starzec uśmiechnął się.

— Moi panowie — rzekł — wszyscy tu jesteście kapłanami; król i wszyscy ojcowie rodzin śpiewają uroczyście dziękczynne pieśni co rano, a kilkutysięczny chór towarzyszy im.

— Jak to! nie macie mnichów, którzy nauczają, dyskutują, rządzą, knują i palą żywcem ludzi będących innego zdania?

— Chybabyśmy oszaleli — odparł starzec — wszyscy jesteście tu jednego zdania: nie rozumiem, co to za mnichy, o których mówisz.

Słyszając to, Kandyd rozpływał się w zachwycie i powiadał sobie w duchu: „To grubo odmiennie niż Westfalia i zamek wielmożnego barona: gdyby przyjaciel Pangloss widział Eldorado, nie byłby już powiadał, że zamek Thunder-ten-tronckh jest możliwie najlepszym tworem na ziemi; to pewna, że podróże kształcą”.

Po długiej rozmowie dobry starzec kazał zaprząć karocę w sześć baranów i przydał po-

dróżnym dwunastu ludzi, aby ich zawieźli do dworu.

— Darujcie — rzekł — iż wiek pozbawia mnie zaszczytu towarzyszenia wam. Król przyjmie was w sposób, na który nie będziecie się pewnie skarżyć, a jeśli to lub owo nie przypadnie wam u stołu do smaku, raczycie wybaczyć.

Kandyd i Kakambo wsiedli do karocy; barany pomknęły jak wiatr. W niespełna cztery godziny zajechali przed pałac królewski, położony na krańcu stolicy. Pałac wysoki był na sto dwadzieścia stóp, a na sto szeroki; niepodobna opisać, z jakiej materii był zbudowany. Łatwo sobie każdy wyobrazi, o ile musiała ona przewyższać kamyki i piasek, które nazywamy złotem i drogimi kamieniami.

Dwadzieścia pięknych dziewcząt sprawujących straż przyjęło Kandyda i Kakambę w progu, zawiodło ich do łaźni, ubrało w suknie tkane z puchu kolibra; po czym wielcy oficerowie i wielkie oficerki Korony zaprowadzili ich do komnat Jego Królewskiej Mości. Szli wedle

tamecznego obyczaju między dwoma rzędami muzykantów, każdy po tysiąc ludzi. Kiedy zbliżali się do sali tronowej, Kakambo spytał ochmistra, jak należy pozdrawiać Majestat; czy padając na ziemię kolanami, czy brzuchem; czy przykładając ręce do głowy, czy do pośladków; czy zlizując proch z podłogi; słowem, jaki jest ceremoniał.

— Zwyczaj jest — odparł ochmistrz — uścisnąć króla i ucałować go w oba policzki.

Kandyd i Kakambo rzucili się na szyję Majestatowi, który przyjął ich z nieopisaną uprzejmością i zaprosił grzecznie na wieczerzę.

Tymczasem oprowadzono ich po mieście, pokazano budowle publiczne wznoszące się pod chmury, stopnie ozdobione tysiącnymi kolumnami, fontanny z czystej wody, fontanny z wody różanej, ze słodkich likierów, które płynęły ustawicznie po wielkich placach wyłożonych jakimś drogim kamieniem, wydającym zapach podobny woni goździków i cynamonu. Kandyd zapragnął widzieć gmachy sądowe, pałac sprawiedliwości; powiedziano mu, że nic podobne-

go nie istnieje i że w tym kraju nie znają procesów. Spytał, czy istnieją więzienia; powiedziano mu, że nie. Co go najwięcej i najprzyjemniej zdziwiło, to Pałac Nauk z galerią długą na dwa tysiące kroków, szczelnie zapełnioną matematycznymi i fizycznymi przyrządami.

Oprowadziwszy gości w ciągu popołudnia po tysiącznej może części całego miasta, zawiedziono ich z powrotem do pałacu. Kandyd siadł do stołu w towarzystwie króla, sługi swego Kakamby i licznych dam. Nigdy nie widziano znakomitszej zastawy i nigdy nikt nie iskrzył się tak dowcipem przy wieczerzy, jak król owej krainy. Kakambo tłumaczył Kandydowi wszystkie trefne odezwania króla, które nawet przetłumaczone nie traciły swej trefności. Ze wszystkich rzeczy, które zdumiewały Kandyda, ta pewnie nie najmniejszy dawała mu powód do zdziwienia.

Spędzili miesiąc w tej gościnie. Kandyd bez ustanku powtarzał:

— To prawda, przyjacielu, jeszcze raz ci przyznaję, że zamek, w którym się urodziłem,

nie umył się do tej rozkosznej krainy; ale cóż! nie ma tu Kunegundy, a i ty zostawiłeś pewnie jaką damę serca w Europie. Jeśli zostaniemy tutaj, będziemy po prostu tym, co drudzy; jeśli natomiast wrócimy do kraju, bodaj z tuzinem baranów obładowanych tutejszymi kamykami, staniemy się bogatsi niż wszyscy królowie razem, nie będziemy się musieli obawiać inkwizytorów i z łatwością zdołamy odzyskać Kunegundę.

Ten pogląd spodobał się Kakambie; tak miło jest uganiać po świecie, odgrywać ważną rolę wśród swoich, popisywać się tym, co się widziało w podróżach, iż dwaj szczęśliwcy postanowili wyrzec się swego szczęścia i poprosić najjaśniejszego króla o pozwolenie odjazdu.

— Robicie głupstwo — rzekł król — wiem dobrze, że w moim kraju nie ma nic nadzwyczajnego; ale kiedy człowiekowi jest gdzieś znośnie, trzeba się tego trzymać. Nie mam oczywiście prawa zatrzymywać cudzoziemców; byłaby to tyrania obca zarówno naszym prawom jak i obyczajom; wszyscy ludzie są wolni; jedźcie,

kiedy zechcecie; ale wydostać się stąd jest dosyć trudno. Niepodobna jest płynąć pod prąd bystrej rzeki, którą dostaliście się tu cudem i która kryje się pod sklepieniem skał. Góry, które otaczają całe królestwo, mają dziesięć tysięcy stóp i strome są jak ściana; każda ma w obwodzie więcej niż dziesięć mil; zejścia z nich nie ma, chyba prosto w przepaść. Mimo to, skoro koniecznie chcecie jechać, dam rozkaz inżynierom, aby zbudowali machinę, która by was mogła wygodnie stąd przenieść. Skoro się znajdziecie poza górami, nikt z tutejszych nie będzie wam mógł towarzyszyć; poddani moi uczynili ślub nie opuszczać nigdy tej doliny, a zbyt są roztropni, aby go łamać. Poza tym możecie mnie prosić o wszystko, co się wam spodoba.

— Prosimy waszą królewską mość — rzekł Kakambo — jedynie o kilka baranów obładowanych żywnością, kamykami i błotem tego kraju.

Król zaśmiał się:

— Nie rozumiem — rzekł — co za upodobanie mają wasi ziomkowie europejscy w naszym żółtym błocie; ale weźcie, ile się wam podoba i niech wam służy.

Wydał natychmiast rozkaz inżynierom, aby zbudowali machinę celem wywiedzenia tych pomyślników poza granice królestwa. Trzy tysiące dzielnych fizyków wzięło się do pracy; dzieło było gotowe po upływie dwóch tygodni, a kosztowało nie więcej niż dwadzieścia milionów funtów szterlingów wedle miejscowej monety. Usadowiono na machinie Kandyda i Kakambę; przydano im dwa wielkie czerwone barany, osiodłane i zaopatrzone we wszystko, co trzeba, aby służyły za wierzchowce cudzoziemcom, skoro przebędą góry; dalej dwadzieścia baranów jucnych, obładowanych żywnością; trzydzieści dźwigających dary złożone ze wszystkiego, co było najosobliwszego w tym kraju; pięćdziesiąt wreszcie obładowanych złotem, drogimi kamieniami i diamentami. Król uściskał serdecznie obieżyświatów.

Piękne to było widowisko ten odjazd! Nic nie da się porównać z przemyślnością, z jaką wywindowano ich wraz z całym stadkiem baranów, na szczyt góry. Odstawiwszy ich w bezpieczne miejsce, fizykowie pożegnali cudzoziemców, Kandyd zaś nie miał od tej chwili innego pragnienia i celu, jak tylko zawieść swoje barany do stóp panny Kunegundy.

— Mamy — powiadał — czym opłacić gubernatora, jeżeli może istnieć jakaś cena zdolna opłacić łaski panny Kunegundy. Idźmy w kierunku Kajenny, siądziemy na okręt; zobaczymy później, jakie królestwo uda się nam zakupić.

CO IM SIĘ ZDARZYŁO W SURINAM I W JAKI SPOSÓB KANDYD ZAWARŁ ZNAJOMOŚĆ Z MARCI-NEM

Pierwszy dzień upłynął podróżnym dość przyjemnie. Krzepiła ich myśl, iż są posiadaczami większej mnogości skarbów, niżby ich mogły

zgromadzić Azja, Europa i Afryka razem. Kandyd uszczęśliwiony rył imię Kunegundy na przydrożnych drzewach. Drugiego dnia dwa barany ugrzęzły w bagnie i utonęły wraz z ładunkiem; w kilka dni potem dwa inne padły ze znużenia; siedem czy osiem zginęło z głodu w pustyni; inne znalazły śmierć w przepaściach. Wreszcie po stu dniach wędrówki zostały im tylko dwa barany. Kandyd rzekł:

— Widzisz, przyjacielu, jak znikome są bogactwa świata; nie ma nic trwałego prócz cnoty oraz szczęścia oglądania z powrotem panny Kunegundy.

— Przyznaję — odparł Kakambo — ale zostały nam jeszcze dwa barany, z większą mnogością skarbów niż ich kiedykolwiek zdoła pojąć król hiszpański; a oto widzę w oddali miasto, o którym przypuszczam, że to jest Surinam, własność Holendrów. Jesteśmy u kresu niedoli, u początku naszego szczęścia.

Zbliżając się do miasta, ujrzeli Murzyna rozciągniętego na ziemi i odzianego jedynie w nie-

bieskie płócienne gatki; nieborak pozbawiony był lewej nogi i prawej ręki.

— Och, Boże! — rzekł Kandyd po holendersku — cóż ty tu robisz, przyjacielu, w tym straszliwym stanie?

— Czekam na mego pana, pana Vanderdendur, słynnego przedsiębiorcę.

— Czy to pan Vanderdendur — rzekł Kandyd — obszedł się z tobą w ten sposób?

— Tak, panie — odparł Murzyn — taki jest zwyczaj. Dają nam za całe odzienie gatki płócienne dwa razy do roku. Kiedy pracujemy w cukrowniach i tryby chwycą nam palec, ucinają nam rękę: kiedy próbujemy uciekać, ucinają nogę: mnie zdarzyło się jedno i drugie. Oto cena, za którą jadacie cukier w Europie. Wszelako kiedy matka sprzedawała mnie za dziesięć patagońskich talarów na wybrzeżu Gwinei, mówiła mi: „Moje drogie dziecko, błogosław naszych fetyszów, oddawaj im zawsze cześć, a ześlą ci szczęśliwy żywot; masz zaszczyt być niewolnikiem białych panów, w ten sposób zapewniasz dostatek rodzicom”. Nie wiem,

czy oni zaznali szczęścia, ale to pewna, że ja nie. Psy, małpy, papugi są z pewnością tysiąc razy mniej nieszczęśliwe od nas. Fetysze holenderscy, którzy mnie nawrócili, prawią mi co niedzielę, że wszyscy jesteśmy dziećmi Adama, biali i czarni. Nie jestem genealogistą; ale, jeżeli mówią prawdę, jesteśmy wszyscy po trosze ciotecznymi czy stryjecznymi braćmi. Owóż, przyznacie, nie można się ohydniej obchodzić ze swoim krewieństwem.

— O, Panglossie! — wykrzyknął Kandyd — nie przeczuwałeś tej ohydy; przepadło; trzeba mi w końcu wyrzec się twego optymizmu.

— Co to takiego optymizm? spytał Kankambo.

— Ach — odparł Kandyd — to obłąd dowodzenia, że wszystko jest dobrze, kiedy nam się dzieje źle.

Tak mówił Kandyd i wylewał obficie łzy, spoglądając na Murzyna; popłakując, zaszedł do miasta Surinam.

Pierwsza rzecz, co do której zasięgnęli języka, to czy nie ma jakiego okrętu, który by

można wysłać do Buenos-Aires. Człowiek, do którego się zwrócili, był to właśnie przedsiębiorca hiszpański, który ofiarował się załatwić sprawę uczciwym targiem. Naznaczył w tym celu schadzkę w pobliskiej gospodzie. Kandyd i wierny Kakambo zjawili się w umówionej porze wraz ze swymi dwoma baranami.

Kandyd, zawsze prostoduszny jak dziecko, opowiedział Hiszpanowi wszystkie przygody i zwierzył się mu, iż zamierza uprowadzić pannę Kunegundę.

— Niech mnie Bóg strzeże, abym was miał zawieźć do Buenos-Aires — rzekł patron — powieszono by mnie, i was także: piękna Kunegunda jest ukochaną faworytą Jego Dostojsności.

Słowa te podziały na Kandyda jak grom; długo wylewał łzy, w końcu odciągnął na stronę Kakambę.

— Musisz, drogi przyjacielu, wyświadczyć mi przysługę. Mamy w kieszeniach diamentów za jakich pięć lub sześć milionów; jesteś zręczniejszy ode mnie; jedź wyrwać Kunegun-

dę z Buenos-Aires. Jeżeli gubernator będzie robił trudności, daj mu milion; jeśli mało, daj dwa; ty nie masz na sumieniu śmierci inkwizytora, nie mają cię o co zaczepić. Ja narządzę drugi statek i udam się do Wenecji, gdzie będę czekał na ciebie: jest to kraj wolny i nie ma się tam czego obawiać ani od Bułgarów, ani od Arabów, ani od Żydów, ani od inkwizytorów.

Kakambo przyklasnął temu mądrymu postanowieniu. Ciężko mu było rozstać się z dobrym panem, który stał się jego serdecznym przyjacielem; ale przyjemność oddania mu usługi zwyciężyła boleść rozłąki. Uściskali się, lejąc łzy: Kandyd zalecił jeszcze, aby nie zapomniał o poczciwej starej. Kakambo ruszył tegoż dnia w drogę: był to bardzo zacny człowiek, ten Kakambo.

Kandyd został jeszcze jakiś czas w Surinam i czekał, aby inny kapitan zechciał go przewieźć do Włoch wraz z dwoma baranami, które mu zostały. Zgodził służących i zakupił wszystko potrzebne na tak długą podróż; wreszcie pan

Vanderdendur, właściciel dużego statku, zgłosił swą gotowość.

— Ile pan żąda — zapytał Kandyd — aby mnie zawieźć prosto do Wenecji, mnie, moich ludzi, toboły, i te dwa barany?

Właściciel zacenił dziesięć tysięcy piastrów; Kandyd zgodził się bez wahania.

„Och, och — rzekł sobie w duchu przemyślny Vanderdendur — ten cudzoziemiec daje tak, bez targu, dziesięć tysięcy! musi być diablo bogaty”.

Zaczynając wrócić za chwilę i oznajmił, iż nie może jechać za mniej niż dwadzieścia tysięcy.

— Dobrze więc, będziesz je pan miał — odparł Kandyd.

„Och, och — pomyślał znowuż Holender — trzydzieści tysięcy piastrów nie kosztują nic tego człowieka; bez wątpienia te barany muszą dźwigać ogromne skarby; nie nalegajmy więcej, każmy sobie, na razie, zapłacić trzydzieści tysięcy, a potem zobaczymy”. Kandyd sprzedał dwa małe diamenty, z których mniejszy wart był więcej niż cena przewozu. Zapłacił z góry.

Oba barany załadowano na statek. Kandyd jechał za nimi w szalupie; zbliżał się już do statku; ale patron nie traci czasu, rozwija żagle, podnosi kotwicę, wiatr sprzyja jego zamysłom. Kandyd, osłupiały i zdumiony, traci go niebawem z oczu.

— Och, och — wykrzyknął — oto sztuczka, godna Starego Świata.

Wraca do brzegu, powalony boleścią, postradał bowiem skarby, zdolne zapewnić szczęście dwudziestu monarchów.

Udaje się do holenderskiego sędziego, że zaś był nieco podniecony, puka gwałtownie do drzwi; wchodzi, przedstawia rzecz, krzycząc nieco głośniejszym głosem niż wypadało. Sędzia skazał go przede wszystkim na dziesięć tysięcy piastrów grzywny za hałas, jakiego narobił; następnie, wysłuchawszy cierpliwie, przyrzekł rozpatrzyć sprawę natychmiast, skoro kupiec wróci, oraz kazał sobie zapłacić drugie dziesięć tysięcy za kosztą posłuchania.

Postępowanie to dopełniło rozpaczy Kandyda. Prawda, iż przebył już w życiu tysiąc razy dotkliwsze nieszczęścia; ale zimna krew sędziego, jak również kupca, który go okradł tak haniebnie, poruszyły jego żółć i pograżyły go w najczarniejszej melancholii. Złość ludzka ujawniła się jego oczom w całej szpetocie i przejęła go smutnymi myślami. Wreszcie znalazł okręt francuski odpływający właśnie do Bordeaux. Ponieważ nie posiadał już do przewozu baranów obładowanych diamentami, wynajął za przyzwoitą cenę kajutę i ogłosił w mieście, że zapłaci drogę, życie i doda jeszcze dwa tysiące piastrów uczciwemu człowiekowi, który zechce mu towarzyszyć, pod warunkiem, że człowiek ten będzie najbardziej zmierzony swoim stanem i najnieszczęśliwszy w całym kraju.

Zgłosiła się taka ciżba kandydatów, iż cała flota nie byłaby jej uniosła. Kandyd, chcąc wybrać między najprzyzwoitszymi, wydzielił ze dwadzieścia osób, które zdawały się zasługiwać na sympatię, a które wszystkie obstawały przy prawie pierwszeństwa. Zebrał ich w gospodzie,

zaprosił na wieczerzę, pod warunkiem, iż każdy pod przysięgą opowie wiernie swą historię; po czym on sam wybierze tego, który wyda mu się najbardziej godny pożałowania, najbardziej i z największą słuszością niezadowolony ze swego stanu; innym zaś da jakieś odszkodowanie.

Posiedzenie trwało do czwartej rano. Słuchając wszystkich przygód, Kandyd wspominał to, co mówiła staruszka w drodze do Buenos-Aires oraz zakład, jaki chciała przyjąć, że nie znajdzie się na okręcie osoby, której by się nie zdarzyło w życiu jakieś wielkie nieszczęście. Za każdą nową opowieścią, przychodził mu na myśl Pangloss. „Mistrz Pangloss, mówił, byłby w wielkim kłopotcie, gdyby mu przyszło dowieść swego systemu. Chciałbym, aby był tutaj. To pewna, że jeżeli wszystko idzie dobrze, to chyba w Eldorado, ale nie na reszcie ziemi”. Wreszcie, rozstrzygnął wybór na korzyść biednego uczonego, który pracował przez dziesięć lat dla amsterdamskich księgarzy. Osądził, iż

nie ma na świecie rzemiosła, które by mogło bardziej dać się we znaki.

Ten uczeniec, poza tym bardzo zacny człowiek, doznał wielu nieszczęść: żona go okradła, syn grzmocił, córka opuściła dom i uciekła z jakimś Portugalczykiem. W końcu pozbawiono go małej posiadki, która mu dawała środki do życia, predykanci zaś surynamscy prześladowali go, bo go brali za socynianina⁴². Trzeba przyznać, że inni byli co najmniej równie nieszczęśliwi jak on; ale Kandyd miał nadzieję, iż uczony będzie go rozrywał w drodze. Rywale osądzili, iż Kandyd wyrządza im wielką krzywdę; ułagodził ich, dając każdemu po sto piastrów.

CO SIĘ ZDARZYŁO KANDYDOWI I MARCINOWI NA MORZU

Stary uczony imieniem Marcin puścił się tedy z Kandydem do Bordeaux. Obaj wiele widzieli i wiele przecierpieli; gdyby nawet okręt miał

⁴²socynianie — odłam chrześcijaństwa, pokrewny arianizmowi, nazwany od założyciela grupy, Socyna (1525–1562). [przypis tłumacza]

odbyć drogę z Surinam do Japonii przez Przyładek Dobrej Nadziei, nie zbrakłoby im tematu do rozmowy o wszelakich fizycznych i moralnych niedolach.

Jednakże Kandyd miał nad Marcinem jedną wielką przewagę: mianowicie wciąż spodziewał się ujrzeć Kunegundę, Marcin zaś nie spodziewał się już niczego; co więcej, Kandyd miał złoto i diamenty. Mimo iż stracił setkę baronów obładowanych największymi skarbami ziemi, mimo że zawsze miał na sercu łajdactwo Holendra, wszelako kiedy myślał o tym, co mu zostało w kieszeniach i kiedy mówił o Kunegundzie, zwłaszcza pod koniec obiadu, przechylał się ku systemowi Panglossa.

— A pan, panie Marcinie — rzekł do uczonego — co rozumiesz o tym? jakie jest pańskie zapatrywanie na moralne i fizyczne zło?

— Panie — odparł Marcin — klechy oskarżyły mnie że jestem socynianem, ale, jeśli mam rzec prawdę, jestem manichejczykiem⁴³.

⁴³*manichejczycy* — uczniowie Manesa, herezjarchy urodzonego w Persji w r. 240, przyjmują, iż świat jest dziełem dwóch sprzecznych pierwiastków: dobrego i złego, obu wiecznych i niezawisłych. [przypis tłumacza]

— Żartujesz ze mnie — rzekł Kandyd; nie ma już manichejczyków.

— Ja nim jestem — odparł Marcin — nie wiem, co na to poradzić, ale nie umiem myśleć inaczej.

— Musisz być tedy opętany przez diabła — rzekł Kandyd.

— Miesza się on tak pilnie do spraw tego świata — rzekł Marcin — że mógłby łatwo znaleźć się we mnie, jak i wszędzie indziej: ale przyznam się, iż, obejmując wzrokiem ten świat, albo raczej światek, myślę, że Bóg wydał go na łup jakiejś złośliwej istocie; z wyjątkiem chyba jednego Eldorado. Nie widziałem miasta, które by nie pragnęło zagłady sąsiedniego miasta; rodziny, która by nie chciała wygubić innej. Wszędzie słabi dławią w sobie nienawiść do możnych, przed którymi pełzają; możni zaś patrzą na nich jak na barany, z których sprzedaje się wełnę i mięso. Milion regularnych morderców, przeciągając z jednego końca Europy na drugi, praktykuje z całą sys-

tematycznością, mord i łupiestwo, aby zarobić na chleb, ponieważ nie posiadają uczciwszego zajęcia; w miastach zaś, które rzekomo zażywają pokoju i gdzie kwitną nauki i sztuki, zawiść, troska i zamęt ducha bardziej nękają ludzi niż wszystkie zarazy i klęski obleżonej fortecy. Tajemne zgryzoty są jeszcze okrutniejsze niż publiczne nędze. Słowem, tyle widziałem i doświadczyłem, że jestem manichejczykiem.

— Istnieją wszakże i dobre strony — rzekł Kandyd.

— Może — odparł Marcin — ale ja ich nie znam.

Wśród tej dysputy dał się słyszeć huk armatni. Huk ten wzmagął się z minuty na minutę. Każdy chwytą za lunetę. Ukazują się w oddaleniu około trzech mil dwa walczące z sobą statki: wiatr przypędził je tak blisko, iż pasażerowie francuskiego okrętu mieli przyjemność oglądania walki jak na dłoni. Wreszcie jeden ze statków wsunął drugiemu pocisk tak nisko i tak celny, że go zatopił. Kandyd i Marcin ujrzeli wyraźnie na pokładzie setkę osób skaza-

nych na pewną śmierć; biedacy wznosili ręce do nieba i wydawali straszliwe krzyki: w jednej chwili wszystko znikło.

— Masz pan — rzekł Marcin — oto jak ludzie obchodzą się z sobą wzajem.

— To prawda — rzekł Kandyd — jest coś diabelskiego w tej sprawie.

Tak mówiąc, spostrzegł jakiś przedmiot żywo-czerwonego koloru, pływający koło statku. Spuszczono szalupę, aby zobaczyć, co to takiego; był to jeden z eldoradzkich baranów. Kandyd uczuł większą radość odnajdując tego barana, niż doznał strapienia niegdyś, straciwszy ich setkę obładowaną wszystkimi skarbami Eldorado.

Francuski kapitan poznał niebawem, że kapitanem zwycięskiego okrętu był Hiszpan, kapitanem zaś okrętu zatopionego pirat holenderski, ten sam, który okradł Kandyda. Olbrzymie bogactwa, które sobie przywłaszczył zbrodniarz, znalazły wraz z nim grób na dnie morza; tylko jeden baran ocalał.

— Widzisz — rzekł Kandyd do Marcina — iż zbrodnia bywa niekiedy ukarana; opryszek znalazł los, na który zasługiwał.

— Tak — odparł Marcin — ale trzebaż było, aby podróżni jadący na statku zginęli również? Bóg ukarał tego hultaja, diabeł zatopił resztę.

Tymczasem statek francuski i hiszpański płynęły swoją drogą, Kandyd zaś wiódł dalej rozprawy z Marcinem. Dysputowali tak przez dwa tygodnie jednym ciągiem i po upływie dwóch tygodni byli wciąż w tym samym punkcie. Ale, ostatecznie, nagadali się, wymieniali myśli, pocieszali się wzajem. Kandyd pieścił swego barana.

— Skorom ciebie odnalazł — powiadał — może mi się uda odnaleźć i Kunegundę.

KANDYD I MARCIN ZBLIŻAJĄ SIĘ DO WYBRZEŻY FRANCJI I ROZPRAWIAJĄ

Wreszcie ukazały się wybrzeża Francji.

— Byłeś kiedy we Francji, Marcynie? — rzekł Kandyd.

— Owszem — odparł Marcin — zwiedziłem rozmaite okolice tego kraju. Są takie, w których połowa mieszkańców ma bzika; inne znowuż, gdzie są za mądrzy; inne, gdzie ludzie na ogół są dość łagodni: inne, gdzie silą się na dowcip; we wszystkich zaś pierwszym zatrudnieniem jest miłość, drugim obmowa, a trzecim gadanie głupstw.

— A powiedz mi, Marcynie, czy widziałeś Paryż?

— Owszem, widziałem; łączy po trochu wszystkie te rodzaje; chaos, ciżba, w której wszystko, co żyje, goni za przyjemnością, a nikt jej nie znajduje, przynajmniej o ile mnie się zdało. Bawiłem tam krótko: zaraz po przybyciu, hultaje jarmarczni okradli mnie ze wszystkiego, co posiadałem; mnie samego wzięto za złodzieja i przetrzymano tydzień w więzieniu; po czym zgodziłem się na korektora w drukarni, aby zarobić tyle, bym mógł pieszo wrócić do Holandii. Poznałem kanalię piszącą, kanalię intrygu-

jącą i kanalię w konwulsjach⁴⁴. Powiadają, iż są w tym mieście ludzie nader uprzejmi: pragnę temu wierzyć.

— Co do mnie, nie jestem zgoła ciekaw Francji — rzekł Kandyd — domyślasz się, że skoro kto spędził miesiąc w Eldorado, nie dba na ziemi o nic prócz panny Kunegundy. Będę jej czekał w Wenecji; przejedziemy przez Francję, aby się udać do Włoch; czy zechcesz mi towarzyszyć?

— Bardzo chętnie — rzekł Marcin — powiadają, że Wenecja dobra jest jedynie dla szlachty wenecjańskiej, że wszelako przyjmują tam bardzo dobrze cudzoziemców, o ile mają dużo pieniędzy; ja nie mam, ale ty masz: pójdę za tobą wszędzie.

— Ale, ale — rzekł Kandyd — czy myślisz, że ziemia była pierwotnie morzem, jak zapew-

⁴⁴*kanalia w konwulsjach* — *convulsionnaires* (fr.): tak nazywano za panowania Ludwika XV grupę jansenistów, którzy wpadali w stan konwulsji w czasie modłów na grobie diakona Parysa, zmarłego w r. 1727. Epidemia ta przybrała znaczne rozmiary i dała powód do częstych rozruchów. [przypis tłumacza]

nia wielka książka⁴⁵ będąca własnością kapitana okrętu?

— Nie wierzę w to — odparł Marcin — równie jak w inne brednie, jakimi nas karmią od pewnego czasu.

— Ale, ostatecznie, w jakim celu stworzono ten świat? — rzekł Kandyd.

— Abyśmy się wściekali — odparł Marcin.

— Czy nie dziwi cię — ciągnął Kandyd — miłość, jaką dwie dziewczyny z krainy Uszaków pałały do małp, jak ci to opowiadałem?

— Zgoła nie — odparł Marcin — nie widzę, co by w tym miało być osobliwego; widziałem tyle rzeczy nadzwyczajnych, że nic już nie jest dla mnie nadzwyczajne.

— Czy wierzysz — rzekł Kandyd — że ludzie zawsze mordowali się wzajem, jak dziś czynią? że zawsze byli kłamliwi, chytry, przewrotni, niewdzięczni, drapieżni, słabi, zmienni, tchórzliwi, zazdrośni, chciwi, łakomi, opojeni, skąpi, ambitni, krwiożerczy, obmowni, rozpustni, fanatycy, obłudni i głupi?

⁴⁵wielka książka — tu: Biblia. [przypis tłumacza]

— Czy wierzysz — rzekł Marcin — że ko-
buzy zawsze zjadały gołębie, kiedy je napotka-
ły?

— Bez wątpienia — rzekł Kandyd.

— No więc — odparł Marcin — jeżeli ko-
buzy zawsze mają ten sam charakter, czemu
miałby się on zmieniać u ludzi?

— Och — rzekł Kandyd — jest gruba róż-
nica: bądź co bądź, wolna wola...

Tak rozprawiając, dobili do Bordeaux.

CO SIĘ ZDARZYŁO KANDYDOWI I MARCINOWI WE FRANCJI

Kandyd zatrzymał się w Bordeaux tylko tyle,
ile trzeba było, aby sprzedać parę kamyków z Do-
rado i zaopatrzyć się w wygodny pojazd na dwie
osoby; nie umiał się już obejść bez filozofa Mar-
cina. Zmartwiony był tylko, że musi rozstać się
z baranem, którego zostawił Akademii Nauk
w Bordeaux. Ta ogłosiła jako przedmiot do-
rocznego konkursu zagadnienie, czemu ów ba-
ran ma czerwoną wełnę; nagrodę przyznano pew-

nemu uczonemu z północy, który udowodnił, przez A plus B, minus C, podzielone przez D, że baran musiał być czerwony i umrzeć na księgosusz.

Wszelako wszyscy podróżni, których Kandyd spotkał w gospodach po drodze, powiadali: „Jedziemy do Paryża”. Ta powszechna skwapliwość obudziła w nim wreszcie ochotę ujrzenia stolicy; nie było to wielkie zboczenie z drogi do Wenecji.

Wjechał do miasta od przedmieścia Saint-Marceau; doznał wrażenia, że znajduje się w najszpetniejszej mieścinie Westfalii.

Ledwie Kandyd dobił do gospody, uczuł objawy lekkiej choroby spowodowanej zmęczeniem. Ponieważ miał na palcu olbrzymi diament, a również zauważono w jego pojeździe ciężką szkatułę, znalazło się natychmiast dwóch lekarzy, których wcale nie wzywał, paru serdecznych przyjaciół nieodstępujących go ani na chwilę i dwie dewotki, które grzały mu polewkę. Marcin powiadał:

— Przypominam sobie, iż podczas pierwszej podróży również zachorzałem w Paryżu; byłem bardzo ubogi; toteż nie miałem na usługi ani przyjaciół, ani dewotek, ani lekarzy i wyzdrowiałem.

Pod wpływem lekarstw i puszczenia krwi choroba Kandyda pogorszyła się znacznie. Pewien poczciwy obywatel, zamieszkały w tejże dzielnicy, przyszedł z całą słodyczą domagać się odeń obligu płatnego na okaziciela⁴⁶ na tamten świat. Kandyd nie chciał o tym słyszeć; dewotki upewniały, że to nowa moda; Kandyd odpowiedział, że nie należy do ludzi upędzających się za modą. Marcin chciał wyrzucić natręta oknem. Klecha przysięgał, że nie zechcą pochować Kandyda. Marcin klął się, iż wnet pochowa samego klechę, jeśli ich nie zastawi w spokoju. Kłótnia stawała się coraz żywsza; Marcin wziął go za kark i wyrzucił bez ce-

⁴⁶*oblig płatny na okaziciela* — tu: aluzja do biletu spowiedzi odbytej u księdza uznającego bullę *Unigenitus* (1713) wymierzoną przeciw jansenistom; biletom takim musiał się wykazać każdy, kto chciał uzyskać ostatnie namaszczenie. Wynikłe stąd spory trwały aż do r. 1756. [przypis tłumacza]

remonii, co spowodowało wielkie zgorszenie, a w następstwie protokół w policji.

Kandyd wyzdrowiał; podczas rekonwalescencji miewał u siebie na wieczerzy nader wykwintne towarzystwo. Grywano dość grubo. Kandyd był wielce zdziwiony, że nigdy nie widział w swojej karcie asów; Marcin nie dziwił się zgoła.

Pośród nowo poznanych osób, które opiekowały się Kandydem ze szczególną troskliwością, znajdował się młody labuś⁴⁷, jeden z owych ludzi wścibskich, zawsze gorliwych, zawsze usłużnych, bezczelnych, obleśnych, narzucających się: z tych co to czyhają na świeżo przybyłych podróżnych, opowiadają im najnowsze skandaliki i stręczą uciechy za wszelką cenę. Najpierw zaprowadził Kandyda i Marcina do teatru. Grano właśnie nową tragedię. Kandydowi wypadło miejsce w pobliżu kółka znawców. To mu nie przeszkodziło wylewać łez w najpiękniejszych miejscach, ile że były do-

⁴⁷labuś (z fr. *l'abbé*) — ksiądz, duchowny. [przypis edytorski]

skonale odegrane. Jeden ze znawców, siedzący obok, rzekł w międzyakcie:

— Zupełnie niewłaściwie pan płacze: aktorka jest bardzo licha; partner jej jeszcze lichszy; sztuka bodaj gorsza niż aktorzy; autor nie umie ani słowa po arabsku, a wszakże scena rozgrywa się w Arabii; co więcej jest to człowiek, który nie wierzy we wrodzone pojęcia; przyniosę panu jutro dwadzieścia broszur przeciw niemu.

— Racz mi pan powiedzieć, ile posiadacie sztuk teatralnych we Francji? — zapytał Kandyd labusia; ów odpowiedział:

— Pięć do sześciu tysięcy.

— To dużo — rzekł Kandyd — a ile między nimi dobrych?

— Z piętnaście — odparł tamten.

— To dużo — rzekł Marcin.

Kandyd był pod wrażeniem aktorki, która grała królową Elżbietę w dość płaskiej tragedii, wystawianej od czasu do czasu.

— Ta aktorka — rzekł do Marcina — podobna mi się bardzo, przypomina cokolwiek pannę Kunegundę; chętnie bym się z nią zapoznał.

Labuś ofiarował się go wprowadzić. Kandyd, wychowany w Niemczech, spytał, jaka jest etykieta i jak traktuje się we Francji królowe angielskie.

— Zależy jak i gdzie — rzekł labuś — na prowincji prowadzi się je do gospody, w Paryżu uwielbia się je, jeżeli ładne, a po śmierci rzuca się je do kloaki.

— Królowe do kloaki! — rzekł Kandyd.

— Nie inaczej — odparł Marcin — ten pan ma słuszość; byłem w Paryżu, kiedy panna Monima⁴⁸ przeniosła się, jak to mówią, do lepszego świata; odmówiono jej tego, co ludzie tutejsi nazywają honorami pogrzebu, to znaczy prawa do gnicia na szpetnym cmentarzu razem ze wszystkimi dziadami całej dzielnicy. Pogrzebano ją całkiem osobno, gdzieś w kącie ulicy Burgundzkiej, co musiało jej sprawić nie-

⁴⁸panna *Monima* — Adrianna Lecouvreur, z którą Woltera łączyły węzły przyjaźni. [przypis tłumacza]

zmierną boleść, bo to była bardzo szlachetnie myśląca osoba.

— To bardzo nieuprzejmie — rzekł Kandyd.

— Co pan chce — rzekł Marcin — tu-tejsi ludzie mają takie pojęcia. Wyobraź sobie wszystkie możliwe sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa, a znajdziesz je w rządzie, w trybunałach, w kościołach, w widowiskach tego osobliwego narodu.

— Czy to prawda, że w Paryżu zawsze się śmieją? — rzekł Kandyd.

— Tak — odparł labuś — ale wściekając się równocześnie; tutaj wyrzekają na wszystko trzymając się za boki od śmiechu; ba, śmiejąc się, czynią rzeczy najbardziej haniebne.

— Kto jest — spytał Kandyd — ten gruby wieprz, co tak wymyślał na sztukę, na której się spłakałem, i na aktorów, którzy sprawili mi tyle przyjemności?

— To wieczny malkontent — odparł labuś — który zarabia na życie mówieniem źle o każdej sztuce i każdej książce; nienawidzi wszyst-

kiego, co ma powodzenie, jak eunuchy nienawidzą ludzi z wigorem; to jeden z owych płażów literackich żywiących się błotem i trucizną; zwykła wesz kałamarczowa.

— Co nazywasz pan wszą kałamarczową? — rzekł Kandyd.

— To — odparł księżyk — taki skryba dziennikarski, taki Fréron⁴⁹.

W ten sposób Kandyd, Marcin i labuś rozprawiali na schodach, przyglądając się publiczności wychodzącej z teatru.

— Mimo że wielce pragnę ujrzeć pannę Kunegundę — rzekł Kandyd — chciałbym zjeść kolacyjkę w towarzystwie panny Clairon; była zachwycająca.

Labuś nie był człowiekiem mogącym znać pannę Clairon, która obracała się jedynie w dobrym towarzystwie.

— Zajęta jest dziś wieczór — rzekł — ale miło będzie zaprowadzić cię do pewnej dystyn-

⁴⁹Fréron (1718–1776) — redaktor „Année littéraire”, wróg Woltera, któremu nieraz dał się we znaki swą gryzącą ironią. Wolter odpłacał mu to przy każdej sposobności, nie przebierając w środkach, jak widać z powyższego ustępu. [przypis tłumacza]

gowanej damy: tam poznasz Paryż, jak gdybyś żył w nim od czterech lat.

Kandyd, z natury ciekawy, pozwolił się zaprowadzić do owej damy, mieszkającej w dzielnicy św. Honoriusza. Towarzystwo siedziało właśnie przy faraonie; każdy z tuzina smętnych poniterów trzymał w ręce plik karteczek, żaloszny rejestr niepowodzeń wieczoru. Panowało głębokie milczenie, bladość obsiadła czoła poniterów⁵⁰, niepewność czoła trzymającego bank; gospodyni domu, siedząc obok nieubłaganego bankiera, śledziła oczyma rysia wszystkie parole, wszystkie stawki graczy; wszelkie zakusy wyłamania się z prawideł poskramiała z uwagą surową, lecz grzeczną, nie okazując gniewu z obawy, aby nie postradać klienteli. Dama ta kazała się nazywać margrabiną de Parolignac. Córka jej, piętnastoletnia panienska, siedziała wśród poniterów i mrugnięciem oka ostrzegała matkę o sztuczkiach nieboraków, siłących się naprawiać okrucieństwa losu. La-

⁵⁰poniter (z fr. *pointer*: punktować; sprawdzać) — uczestnik gry hazardowej grający przeciw bankowi. [przypis edytorski]

buś, Kandyd i Marcin weszli; nikt się nie podniósł z miejsca, nie pozdrowił ich, nie spojrział; wszyscy byli głęboko zajęci kartami. „Pani baronowa von Thunder-ten-tronckh była uprzejmiejsza”, pomyślał Kandyd.

Tymczasem labuś nachylił się do ucha margrabiny, która, podniósłszy się z lekka, uczciła Kandyda wdzięcznym uśmiechem, Marcina zaś dystyngowanym skinieniem głowy. Kazała podać krzesło i karty Kandydowi, który w dwóch taliach przegrał pięćdziesiąt tysięcy; po czym zasiedli wesoło do wieczerzy. Wszyscy dziwili się, że Kandyd nie był wzburzony po stracie; lokaje szeptali między sobą ze swą lokajską filozofią: „To musi być z pewnością jakiś milord angielski”.

Wieczera toczyła się jak zazwyczaj w Paryżu: zrazu milczenie, potem bezładny gwar słów, potem koncepty, przeważnie bez smaku, fałszywe nowinki, nedorzeczne rozprawy, trochę polityki i dużo obmowy; mówiono nawet o nowych książkach.

— Czytał kto z państwa — rzekł labuś — romans imć Gauchat⁵¹, doktora teologii?

— Owszem — odparł jeden z biesiadników — ale nie mogłem dokończyć. Mnóstwo mamy niedorzecznych gryzmołów, ale wszystkie razem nie dają wyobrażenia o bredniach pana Gauchat, doktora teologii. Jestem tak przesycony bezlikiem ohydnych książek, który zalewa nas co dzień, że wolałem zabrać się do poniterki przy faraonie.

— A cóż powiecie na *Mieszaniny* archidiacona Trublet⁵²? — rzekł księżyk.

— Och — rzekła pani de Parolignac — cóż za śmiertelna nuda! jak on bystro roztrząsa rzeczy wszystkim wiadome! jak ciężko rozprawia o tym, co nie jest warte ani wzmianki! jak bez cienia dowcipu przywłaszcza sobie dowcip drugich! jak psuje wszystko, co łupi z innych! Cóż za obrzydliwość! ale nie złapie mnie już

⁵¹ *Gauchat* — książdz, napisał lichą książkę pt. *Listy o niektórych pismach współczesnych*, za którą nagrodzono go tłustym probostwem. [przypis tłumacza]

⁵² *Trublet* (1697–1770) — kanonik Saint-Malo, zręczny kompilator. Głównym jego dziełem są *Essais de Littérature et de Morale*. [przypis tłumacza]

więcej; wystarczy przeczytać parę stronic tego miłego archidiakona.

Był przy stole człowiek uczony i pełen smaku, który potwierdzał wszystko, co mówiła margrabina. Rozmowa zeszła na tragedie; dama spytała, czemu istnieją tragedie, które grywa się niekiedy, a których niepodobna przeczytać. Znawca wytłumaczył jej bardzo zręcznie, że sztuka może budzić pewne zaciekawienie, a nie posiadać żadnej wartości; wykazał w zwięzłych słowach, że nie dość jest powtórzyć jedną z owych pospolitych sytuacji, które spotyka się w każdym romansie i które zawsze przykuwają widzów, ale że trzeba być oryginalnym bez dziwactwa, często wzniosłym, zawsze naturalnym, znać serce ludzkie i umieć mówić jego głosem; być wielkim poetą, ale tak aby nigdy żaden z bohaterów sam nie wydał się poetą; znać język, władać nim czysto, harmonijnie, tak aby nigdy rym nie bogacił się kosztem treści.

— Ktokolwiek — dodał — nie przestrzega tych prawideł, może zyskać w teatrze poklask jedną lub drugą tragedią, ale nigdy nie będzie

się liczył do wielkich pisarzy. Mało mamy dobrych tragedyj: jedne to dialogowane idylle, dobrze napisane i gładko rymowane; drugie, usypiające rozprawy polityczne lub też niecierpliwiące gadulstwo; inne, majaki obłąkańca o barbarzyńskim stylu, z wątkiem rwącym się co chwila, długie apostrofy do bogów, bo autor nie umie mówić do ludzi, fałszywe maksymy, napuszone komunały.

Kandyd wysłuchiwał tych uwag z nabożeństwem i powziął wielki szacunek dla mówcy; że zaś margrabina raczyła go posadzić koło siebie, nachylił się nieco i odważył się spytać, kto jest ów człowiek wygłaszający tak światłe zdania.

— To uczony — rzekła dama — nie grywa w karty, ale labuś przyprowadza go niekiedy na wieczerzę. Zna się wyśmienicie na teatrze i na książkach; sam napisał tragedię, którą wygwizdano, i książkę, która rozeszła się w jednym egzemplarzu, ofiarowanym mi przez autora.

— Wielki człowiek! — rzekł Kandyd — to drugi Pangloss.

Zaczem, obracając się ku niemu, rzekł:

— Jest pan zapewne zdania, że wszystko idzie jak najlepiej w świecie fizycznym i moralnym i że nic nie mogłoby się dziać inaczej?

— Ja? — odparł uczony — ani odrobinę; uważam, iż wszystko idzie u nas na opak; nikt nie zna swojej rangi ani stanowiska, nie wie, co czyni, ani co powinien czynić. Z wyjątkiem kolacji, które bywają dość wesołe i przy których panuje jakaś harmonia, resztę czasu trawi się na niedorzecznych kłótniach: jansenistów z molinistami, sędziów z klechami, literatów z literatami i dworaków z dworakami, finansistów z ludem, mężów z żonami, krewnych z krewnymi; jedna ustawiczna wojna.

Kandyd odpowiedział:

— Widziałem gorsze rzeczy; ale pewien mędrzec, którego na nieszczęście powieszono, pouczył mnie, że to wszystko jest właśnie doskonale: to są cienie na pięknym obrazie.

— Pański wisielec kpił sobie chyba z ludzi — rzekł Marcin — te jego cienie, to ohydne plamy.

— To ludzie robią te plamy — rzekł Kandyd — i nie mogą inaczej.

— Zatem, to nie ich wina — rzekł Marcin.

Gracze, nie rozumiejący przeważnie nic z tego języka, pili; Marcin zapuścił się w dysputę z uczonym, Kandyd zaś opowiedział pani domu to i owo ze swych przygód.

Po wieczerzy margrabina zaprowadziła Kandyda do buduaru i posadziła go na kanapie.

— I cóż! — rzekła — wciąż tedy kochasz bez opamiętania pannę Kunegundę von Thunder-ten-tronckh?

— Tak, pani — odparł Kandyd. Margrabina rzekła z tkliwym uśmiechem:

— Odpowiadasz jak galant z Westfalii; Francuz powiedziałby: „Prawda, kochałem pannę Kunegundę; ale, widząc ciebie, pani, lękam się, że już jej nie Kocham”.

— Ach, pani — odparł Kandyd — odpowiem jak zechcesz.

— Twoja miłość dla niej — rzekła margrabina — obudziła się, gdyś jej podnosił chu-

steczkę: otóż pozwalam, abyś mi podniósł podwiązkę.

— Z całego serca — rzekł Kandyd; i tak uczynił.

— A teraz, zapnij mi ją — rzekła dama; Kandyd znów był posłuszny.

— Widzisz, młodzieńcze — rzekła dama — jesteś tu obcy; paryskim wielbicielom każę niekiedy wzdychać dwa tygodnie, ale tobie gotowam ulec zaraz pierwszej nocy: trzebaż okazać gościnność młodzieńcowi przybyłemu z Westfalii.

Tu piękna dama, spostrzegłszy dwa olbrzymie diamenty na rękach młodego cudzoziemca, zaczęła wychwalać je tak szczerze, że niebawem z palców Kandyda przeszły na palce margrabiny.

Wracając do domu z labusiem, Kandyd odczuwał niejaki wyrzuty, iż sprzeniewierzył się pannie Kunegundzie. Labuś współczuł z jego troską: zbyt skąpo przypuszczono go do udziału w pięćdziesięciu tysiącach zostawionych przez Kandyda na zielonym stoliku i w wartości dwóch

brylantów, w pół danych, w pół wymuszonych. Miał najszczerzy zamiar wyzyskać, ile się da, tę cenną znajomość. Raz po raz zagadywał Kandyda o pannę Kunegundę; Kandyd zwierzył mu się, że skoro ją ujrzy w Wenecji, nie omieszka błagać jej o przebaczenie za swą niewierność.

Frant przesadzał się w grzeczności i nadskakiwaniach, okazując serdeczne zainteresowanie wszystkim, co Kandyd mówi, czyni, zamierza.

— Zatem, drogi panie — rzekł — masz spotkać się w Wenecji ze swą ukochaną?

— Tak — odparł Kandyd — dołożę wszelkich starań, aby odszukać pannę Kunegundę.

Zaczem, porwany przyjemnością mówienia o przedmiocie kochania, opowiedział wedle zwyczaju część swoich przygód z dostojną Westfalką.

— Sądzę — rzekł labuś — że panna Kunegunda musi błyszczeć nieporównanym dowcipem i że pisze czarujące listy.

— Niestety! nie wiem — odparł Kandyd — wyobraź pan sobie, że, gdy mnie wypędzo-

no z zamku za naszą miłość, nie miałem sposobu nawiązania z nią korespondencji. Później dowiedziałem się, że zginęła; odnalazłem ją i straciłem znowu. Obecnie wysłałem do niej o dwa tysiące pięćset mil umyślnego posłańca i oczekuję jego powrotu.

Księżyk słuchał uważnie i zadumał się nieco. Niebawem pożegnał się z cudzoziemcami, wyściskawszy ich czule. Nazajutrz wczesnym rankiem Kandyd otrzymał list skreślony w tych słowach:

„Drogi mój panie i kochanku, od tygodnia leżę chora w tym mieście; dowiaduję się że i ty tu bawisz. Pomknęłabym w twoje ramiona, gdybym się mogła ruszać. Dowiedziałam się w Bordeaux o twoim przejeździe, zostawiłam tam wiernego Kakambę i starą, którzy niebawem podążą tu za mną. Gubernator Buenos-Aires zabrał mi wszystko; ale zostaje mi twoje serce. Przybywaj; obecność twoja wróci mi życie lub zabije mnie rozkoszą”.

Ten uroczy list spadający tak niespodzianie nappełnił Kandyda nieopisaną radością; równo-

częściej choroba drogiej Kunegundy zasmuciła go głęboko. Szarpany tymi sprzecznymi uczuciami bierze wszystko złoto i diamenty i każe się prowadzić wraz z Marcinem do wskazanej gospody. Wchodzi, drżąc ze wzruszenia; serce mu bije, głos trzęsie się od łkania; chce rozsunąć zasłony; chce wołać o światło.

— Nie waż się pan — mówi garderobiana — światło ją zabija.

To mówiąc, żywo zaciąga firanki.

— Droga Kunegundo — rzekł Kandyd płacząc — jak się miewasz? jeśli mnie nie możesz widzieć, przemów bodaj.

— Nie może mówić — odparła pokojówka.

Wówczas dama wysuwa z łóżka toczoną rączkę, którą Kandyd długo skrapia łzami i którą napelnia garścią diamentów, zostawiając równocześnie woreczek złota na fotelu.

Wpółśród tych uniesień zjawia się sierżant policji w towarzystwie znanego nam labusia oraz oddziału straży.

— To są — rzeczy — owi podejrzani cudzoziemcy.

Każę natychmiast ująć obu i rozkazuje swym zuchom, aby ich powlekli do więzienia.

— Nie tak obchodzą się z podróżnymi w Eldorado — rzekł Kandyd.

— Jestem bardziej manichejczykiem niż kiedykolwiek — rzekł Marcin.

— Ależ panie, dokąd pan nas prowadzi? — spytał Kandyd.

— Do dziury — odparł sierżant.

Marcin, odzyskawszy zimną krew, osądził, iż dama odgrywająca rolę Kunegundy była hultajką; labuś hultajem, który w najkrótszej drodze skorzystał z naiwności Kandyda; sierżant zaś trzecim hultajem, którego z łatwością można się będzie pozbyć.

Woląc nie udawać się pod opiekę trybunałów, Kandyd, oświecony radą przyjaciela, wciąż zresztą dyszący żądzą oglądania prawdziwej Kunegundy, ofiarowuje sierżantowi trzy małe diamenty, każdy wartości około trzech tysięcy pistolów.

— Och, panie — rzekł stróż bezpieczeństwa — gdybyś nawet popełnił wszystkie możliwe zbrodnie, jesteś dla mnie najuczciwszym człowiekiem w świecie; trzy diamenty po trzy tysiące pistołów! Panie! dałbym się zabić za pana, zamiast pana prowadzić do więzienia. Aresztują wszystkich cudzoziemców, ale zdaj się pan na mnie, mam brata w Dieppe, w Normandii; dowiozę tam panów, a jeśli macie jeszcze jaki diamencik na zbyciu, brat będzie miał o was pieczę jak o mnie samego.

— Czemuż to aresztują wszystkich cudzoziemców? — spytał Kandyd.

Labuś odpowiedział:

— Dlatego, że jakiemuś włóczykijowi rodem z Atrebacji⁵³ nagadano bredni: to pchnęło go do ojcobójstwa, nie takiego jak w 1610 w maju, ale jak w 1594 w grudniu⁵⁴; takiego, jakie w różnych latach i miesiącach popeł-

⁵³*Atrebacja* — Artois. Chodzi o Damiensa, urodzonego w Arras, który 5 stycznia 1757 targnął się na życie Ludwika XV, za co rozszarpano go końmi na placu de Greve. [przypis tłumacza]

⁵⁴*nie takiego jak w 1610 w maju, ale jak w 1594 w grudniu* — Zamordowanie Henryka IV i zamach Jana Châtel, wychowanka jezuitów, na Henryka III. [przypis tłumacza]

niali inni urwipołcie, również nasłuchawszy się bredni.

Zaczem sierżant wytłumaczył, o co chodzi.

— Och! potwory! — zawołał Kandyd — jak to! takie okropności w narodzie, który bez przerwy tańczy i śpiewa? Co rychlej trzeba nam opuścić kraj, w którym małpy drażnią tygrysów! W moim kraju widziałem niedźwiedzie; ludzi widziałem tylko w Dorado. Na miłość Boga, mości sierżancie, zawieź mnie do Wenecji, gdzie mam oczekiwać panny Kunegundy.

— Mogę pana zawieźć jedynie do Normandii — rzekł policjant.

Natychmiast każe mu zdjąć kajdany, powiada, że się omylił, odprawia strażników, wiezie Kandyda i Marcina do Dieppe i powierza ich bratu. Stał tam właśnie pod żaglem okręci holenderski. Normandczyk, który dzięki trzem dalszym diamentom okazał się człowiekiem najuczynniejszym w świecie, wsadza Kandyda i jego służbę na okręt odpływający do Portsmouth w Anglii. Nie była to droga do Wenecji; ale Kandyd miał uczucie, iż wyzwolono go z pie-

kła; zresztą miał zamiar podążyć do Wenecji przy najbliższej sposobności.

JAK KANDYD I MARCIN PRZYBI- JAJĄ DO BRZEGÓW ANGLII I CO TAM WIDZĄ

— Och, Panglossie! Panglossie! Och, Marcinie! Marcinie! Och, droga Kunegundo! czymże jest ten świat? — powiadał Kandyd, stojąc na pokładzie.

— Czymś bardzo niedorzecznym i bardzo ohydny — odpowiadał Marcin.

— Znasz Anglię; czy ludzie są tam równie pomyleni jak we Francji?

— To znowuż inny rodzaj szaleństwa — rzekł Marcin. — Wiesz, że te dwa narody są z sobą w wojnie o parę morgów śniegu⁵⁵ gdzieś w podległości Kanady i że wydają na tę wojnę znacznie więcej niż cała Kanada warta. Określić szczegółowo, czy w jakimś kraju więcej jest kandydatów do kaftana bezpieczeństwa niż w dru-

⁵⁵w wojnie o parę morgów śniegu — Aluzja do epizodów kolonialnych wojny siedmioletniej (1756–1763). [przypis tłumacza]

gim, na to moja słaba wiedza nie pozwala; wiem tylko, że na ogół ludzie, których mamy niebawem oglądać, są wielce źółciowi.

Tak rozmawiając, przybili do Portsmouth; mnogość ludu cisnęła się na wybrzeżu i przyglądała się z zajęciem dość otyłemu człeczynie, który klęczał z zawiązanymi oczami na pokładzie okrętu⁵⁶. Czterech żołnierzy ustawionych naprzeciw nieboraka wpakowało mu z największym spokojem po trzy kule w głowę; po czym całe zgromadzenie rozeszło się wielce zadowolone.

— Cóż to znowu znaczy? — rzekł Kandyd — co za bies sprawuje wszędy władzę?

Zapytał, kim był ów grubas, którego zgładzono właśnie w sposób tak ceremonialny.

— To pewien admirał — odpowiedziano mu.

— Za cóż zabito tego admirała?

⁵⁶przyglądała się (...) człeczynie, który klęczał z zawiązanymi oczami na pokładzie okrętu — Aluzja do egzekucji admirała Byng, którego Wolter, nie znając go zresztą osobiście, daremnie starał się ocalić. Admirał Byng stracono w r. 1757 za to, że dał się pobić koło Minoriki flocie francuskiej, mimo że nie udowodniono mu ani zdrady, ani zaniedbania. [przypis tłumacza]

— Za to — objaśniono go — że on nie zabił dosyć ludzi: wydał bitwę admirałowi francuskiemu; otóż, osądzono, iż nie dosyć się doń zbliżył.

— Ależ — rzekł Kandyd — admirał francuski musiał być równie daleko od angielskiego, jak ten od niego?

— Zapewne — odpowiedziano — ale w tym kraju uważają, iż dobrze jest od czasu do czasu uśmiercić admirała, aby zachęcić innych.

Kandyd był tak oszołomiony i zgorszony, że nie chciał nawet wysiąść na ląd; ułożył się z właścicielem statku (choćby ów miał go nawet okraść, jak w Surinam), aby go zawiózł bez zwłoki do Wenecji.

W dwa dni okręt był gotów do drogi. Przemknęli wzdłuż wybrzeży Francji, minęli Lizbonę, na której widok Kandyd zadrzał, wreszcie dotarli do Wenecji.

— Bogu chwała! — rzekł Kandyd ściskając Marcina — mam nadzieję, iż w tym mieście ujrzę piękną Kunegundę. Ufam Kakambie jak samemu sobie. Wszystko jest dobre, wszystko

idzie dobrze, wszystko idzie najlepiej, jak tylko być może.

O PAKICIE I BRACIE ŻYROFLI

Znalazłszy się w Wenecji, Kandyd kazał szukać Kakamby w gospodach, kawiarniach, zamtu-
zach, i nie znalazł. Co dnia posyłał do portu na
spotkanie wszystkich lądujących okrętów i sza-
lup: żadnej wiadomości.

— Jak to! — mówił do Marcina — ja mia-
łem czas przebyć drogę z Surinam do Borde-
aux, dotrzeć z Bordeaux do Paryża, z Paryża
do Dieppe, z Dieppe do Portsmouth, objechać
Hiszpanię i Portugalię, całe morze Śródziem-
ne, spędzić kilka miesięcy w Wenecji; a pięknej
Kunegundy nie ma jeszcze! Zamiast niej spo-
tkałem jedynie paryską łajdaczkę i perygordz-
kiego labusia! Kunegunda nie żyje, to pewna;
nie pozostaje mi nic, jak też umrzeć. Ach, le-
piej było zostać w rajskiej Dorado, niż wracać
do tej przeklętej Europy. Jakąż ty masz słusz-

ność, drogi Marcinie! wszystko jest jeno złudą i utrapieniem ducha.

Popadł w czarną melancholię, nie brał żadnego udziału w operze *alla moda*, ani w innych uciechach karnawału; ni jedna z miejscowych piękności nie skusiła go. Marcin rzekł:

— Jesteś w istocie bardzo naiwny, aby sobie wyobrazić, iż sługa metys, mając parę milionów w kieszeni, pójdzie ci szukać kochanki gdzieś na końcu świata i przywiezie ją do Wenecji. Jeśli ją znajdzie, zatrzyma dla siebie; jeśli nie znajdzie, weźmie sobie inną; radzę ci zapomnieć, żeś miał kiedy sługę Kakambę i ukochaną Kunegundę.

Słowa Marcina nie były pocieszające. Melancholia Kandyda wzmogła się, Marcin zaś nie ustawał w wykazywaniu, iż cnota i szczęście na ziemi są rzadkie, wyjąwszy może Eldorado, dokąd nie ma sposobu się dostać.

Rozprawiając o tej ważnej materii i oczekując Kunegundy, Kandyd spostrzegł na placu św. Marka młodego teatyna prowadzącego się pod ramię z dziewczuszką. Zakonnik był

rumiany, pulchny i krzepki; oczy miał błyszczące, spojrzenie pewne siebie, wyniosłą miłą, dumną postawę. Dziewczyna była bardzo ładna; podśpiewywała sobie, spoglądała miłośnie na teatyna, od czasu do czasu szczypiąc go w pulchne policzki.

— Przyznaj choć — rzekł Kandyd — że ta para jest szczęśliwa. Dotąd na całej zamieszkałej ziemi, z wyjątkiem Eldorado, widziałem jedynie nieszczęśliwych, ale założę się, że ta dziewczyna i teatyn, to para istot doskonale zadowolonych z losu.

— Założę się, że nie — rzekł Marcin.

— Najlepiej zaprosimy ich na obiad — rzekł Kandyd — zobaczysz, czy się mylę.

Przystępuje do nich, pozdrawia uprzejmie i prosi, aby zechcieli spożyć z nim talerz makaronu, lombardzką kuropatwę, jaja z truflami, jak również wychylić szklaneczkę Montepulciano, lacrima Christi, cypryjskiego i Samos. Paniątka zarumieniła się, teatyn przyjął zaproszenie; zaczynają dziewczyna udała się za nim, spoglądając na Kandyda zdziwionym i pomie-

szanym wzrokiem, ba, nawet ze łzami w oczach. Zaledwie weszła do izby, rzekła:

— Jak to! pan Kandyd nie poznaje już Pakity?

Na te słowa, Kandyd, który do tej chwili nie przyjrzał się jej uważnie, bo w myśli miał jedynie Kunegundę, wykrzyknął:

— Co! biedne dziecko, więc to ty! ty, która wpędziłaś doktora Panglossa w piękny stan, w którym go oglądałem?

— Niestety, panie, to ja, ta sama — odparła Pakita — widzę, że pan wie o wszystkim. Słyszałam o straszliwych nieszczęściach, jakie spadły na cały dom pani baronowej i pięknej Kunegundy. Przysięgam panu, że moje losy były niemniej smutne. Wówczas kiedy mnie pan znał, byłam bardzo niewinna. Franciszkanin, który był moim spowiednikiem, uwiódł mnie z łatwością. Skutki okazały się straszne; musiałam opuścić zamek w krótki czas po owym zajściu, w którym pan baron wypędził pana z domu nogą w pośladki. Gdyby pewien znakomity lekarz nie ulitował się nade mną, byłoby po

mnie. Przez jakiś czas przez wdzięczność, byłam kochanką tego lekarza. Żona, zazdrosna do szaleństwa, biła mnie bez litości: istna furia. Ów lekarz był potworem brzydoty, a ja najniezwyklejszą istotą pod słońcem: znosić nieustanne bicie dla człowieka, którego się nie kocha! Wiadomo panu, jak niebezpieczne jest dla kobiety z przykrym charakterem być żoną lekarza. Ten, doprowadzony do rozpaczki breweriami żony, pewnego dnia, pragnąc ją wyleczyć z lekkiego kataru, dał jej lekarstwo tak skuteczne, że w ciągu dwóch godzin umarła w straszliwych konwulsjach. Krewni nieboszczki wytoczyli mężowi proces; wolał wziąć nogi za pas; w jego miejsce mnie wtrącono do więzienia. Niewinność nie byłaby mnie ocaliła, gdyby mi nie pomógł nieszpety buziaczek. Sędzia uwolnił mnie pod warunkiem, że będę następcą lekarza. Niebawem wygryziona z domu przez rywalkę znalazłam się bez żadnego wynagrodzenia na ulicy, zmuszona dalej prowadzić ohydne rzemiosło, które wam, mężczyznom, wydaje się tak rozkoszne, a które dla

nas jest otchłanią nędzy. Udałam się w tym celu do Wenecji. Och, panie, jeżeli możesz sobie wyobrazić, co to znaczy musieć, bez różnicy, pieścić starego kupca, adwokata, mnicha, gondoliera, księdza; być wystawioną na wszystkie zniewagi, wszystkie bezceństwa; musieć często pożyczać kiecki, aby ją zdejmować dla mężczyzny, do którego czuje się wstręt; patrzeć, jak jeden kradnie to, co się zarobiło od drugiego; być bez ustanku łupioną, okładaną haraczem przez policję i mieć jako jedyną przyszłość ohydną starość, szpital i śmietnik, ocenilby pan, że jestem jedną z najnieszczęśliwszych istot na świecie.

Tak otwierała Pakita serce przed dobrym Kandydem w alkierzu, w przytomności Marcina, który powiadał:

— Widzisz, że już wygrałem połowę zakładu.

Brat Żyrofla został tymczasem w jadalni i popijał sobie, czekając, aż podadzą obiad.

— Ależ — rzekł Kandyd do Pakity — wydawałaś się tak wesoła, tak rada, kiedy cię spo-

tkalem, śpiewałaś, pieściłaś tego mnicha z tak szczerego serca; zdawałaś się równie szczęśliwa, jak twierdzisz, że jesteś strapiona.

— Ach, panie — rzekła Pakita — to także jedna z niedoli rzemiosła. Wczoraj okradł mnie i wybił oficer; dziś muszę udawać wesołość, aby się przychlebić mnichowi.

Kandyd nie żądał więcej; przyznał, że Marcin ma słuszność. Siedli we czworo do stołu; obiad płynął wcale ucieszenie, a pod koniec biesiadnicy gwarzyli z sobą dość poufale.

— Mój ojczy — rzekł Kandyd do mnicha — cieszysz się losem, którego cały świat może ci pozazdrościć; zdrowie tryska z twojej twarzy, fizjonomia zwiastuje szczęście; masz oto dla uciechy bardzo ładną dziewczynę i wydajesz się wcale rad ze swego teatyńskiego stanu.

— Dalibóg, drogi panie — rzekł brat Żyrofla — życzyłbym, aby wszyscy teatyni spoczywali na dnie morza. Sto razy miałem pokusę podłożyć ogień pod klasztor, a samemu iść ochrzcić się na Turka. Rodzice zmusili mnie w piętnastym roku, abym włożył tę nienawist-

ną suknię, iżby mogli zostawić większy majątek przekłętemu starszemu bratu, niechaj go Bóg zatraci! Zazdrość, niezgoda, wściekłość, oto co mieszka w klasztorach. Prawda, że człowiek odwali co dnia parę lichych kazań za te marne trochę grosza, z którego przeor odkrada połowę, a reszta idzie na dziewczęta: ale, kiedy wracam wieczorem do klasztoru, miałbym ochotę roztrzaskać sobie głowę o mury dormitorium; a ręczę panu, że wszyscy moi współbracia myślą tak samo.

Tu Marcin, zwracając się do Kandyda ze zwykłym spokojem, rzekł:

— I cóż, czy nie wygrałem?

Kandyd dał dwa tysiące piastrów Pakicie, a tysiąc teatynowi.

— Ręczę ci — rzekł — że z tym będą szczęśliwi.

— Nie przypuszczam — rzekł Marcin — być może, za pomocą swoich piastrów uczynisz ich jeszcze o wiele nieszczęśliwsiymi.

— Będzie co będzie — odparł Kandyd — ale jedno mnie pociesza: widzę, iż często zda-

rza się spotkać w życiu ludzi, których nie miało się nadziei spotkać nigdy; skorom odnalazł czerwonego barana i Pakitę, odnajdę i Kungundę.

— Życzę — rzekł Marcin — aby kiedyś mogła ci dać szczęście, ale bardzo wątpię o tym.

— Twardy jesteś — rzekł Kandyd.

— Znam życie — odparł Marcin.

— Ale spójrz na tych gondolierów — rzekł Kandyd — czyż nie śpiewają bez ustanku?

— Nie widzisz ich w domu, w otoczeniu żony i pędraków — odparł Marcin. Doża ma swoje utrapienia, gondolier swoje. Prawda, iż, razem wzięwszy, los gondoliera lepszy jest od losu doży; ale różnica wydaje mi się tak nieznaczna, iż nie warto się nad nią zastanawiać.

— Mówią — rzekł Kandyd — o senatorze Prokurancie, który mieszka w pięknym pałacu na Brenta i przyjmuje dość chętnie cudzoziemców. Powiadają, że to jest człowiek, który nigdy nie miał zmartwień.

— Chciałbym widzieć to rzadkie zjawisko — rzekł Marcin.

Zaczyn Kandyd kazał poprosić pana Prokuranta o pozwolenie odwiedzenia go nazajutrz.

WIZYTA U PANA PROKURANTA, SZLACHCICA WENECKIEGO

Kandyd i Marcin udali się w gondoli na Brentę i przybyli do pałacu szlchetnego Prokuranta. Ogród był rozległy i strojny marmurowymi posągami; pałac budowany ozdobną architekturą. Pan domu, człowiek sześćdziesięcioletni, bardzo bogaty, przyjął ciekawskich grzecznie, ale bez zbytniej skwapliwości, co zbiło z tropu Kandyda, a dość spodobało się Marciniowi.

Najpierw ładne i schludnie odziane dziewczęta podały pienistą czekoladę. Kandyd nie mógł się wstrzymać od oddania pochwały ich urodzie, wdziękowi i zwinności.

— Tak, wcale niezłe — rzekł senator — biorę je czasem do łóżka; mam już po uszy dam wielkiego świata, ich zalotności, zazdrości, sprzeczek, humorów, małosstek, ich pychy, błazeństwa oraz sonetów, jakie trzeba dla nich

układać lub zamawiać; ale, razem wzięwszy, te małe też zaczynają nudzić mnie już mocno.

Po śniadaniu Kandyd, przechadzając się w długiej galerii, zdumiał się pięknnością obrazów. Spytał, czyjego pędzla są te dwa, które miał przed sobą.

— Rafaela — odparł senator — kupiłem je bardzo drogo, przez próżność, już będzie kilka lat. Powiadają, że to najpiękniejsze w całych Włoszech, ale mnie nie podobają się zgoła: barwy ściemniałe, postacie nie dość plastyczne i nie dość wydobyte z płótna, draperie niepodobne do żywej materii: słowem, co bądź by kto mówił, nie widzę tu prawdziwego naśladowania natury. Lubiłbym obraz jeno wówczas, gdyby mi dawał zupełne złudzenie: ale nie ma takich. Mam wiele obrazów, ale nie patrzę na nie.

Czekając na obiad, Prokurator zarządził koncert. Muzyka zdała się Kandydowi czarującą.

— Ten hałas — rzekł Prokurator — może bawić pół godziny; ale jeśli trwa dłużej, męczy, mimo że nikt nie ośmiela się tego przyznać.

Muzyka jest dziś jedynie sztuką wykonywania rzeczy trudnych, a to co jest tylko trudne, nie może się podobać na dłuższą metę.

Wolałbym raczej operę, gdyby nie to, iż uczyniono z niej monstrum, które mnie wstrętem przejmuje. Niech kto inny chodzi oglądać liche tragedie podłożone pod muzykę, gdzie sceny sklecone są jedynie po to, aby bardzo niezdarne sprowadzić parę śmiesznych aryjek, których znów celem jest uwydatnić sprawność gardzieli śpiewaków; niech kto chce albo kto może, omdlewa z rozkoszy, gdy kapłan jakiś wyciąga rolę Cezara lub Katona, płacząc się niezgrabnie po scenie; co do mnie, od dawna już wyrzekłem się owych lichot, które stanowią dziś chlubę Italii i które monarchowie opłacają tak drogo.

Kandyd spierał się nieco, ale z umiarkowaniem. Marcin dzielił w zupełności zdanie senatora.

Siedli tedy do stołu, a po wybornym obiedzie przeszli do biblioteki. Widząc wspaniale

oprawnego Homera, Kandyd pochwalił Jego Dostojność za dobry gust.

— Oto — rzekł — książka, która stanowiła rozkosz wielkiego Panglossa, najtęższego filozofa całych Niemiec.

— Ja tam nie znajduję w niej żadnej rozkoszy — rzekł zimno Prokurant. — Niegdyś wmówiono mi, że czytając ją, doznaję przyjemności; ale to ustawiczne powtarzanie bitew podobnych do siebie jak dwie krople wody; ci bogowie, którzy szamocą się ciągle nie mogąc się zdobyć na nic rozstrzygającego; ta Helena, będąca przedmiotem wojny, a ledwie odgrywająca w akcji jakąś rolę; ta Troja, którą wiecznie oblegają, a nigdy zdobyć nie mogą, wszystko to przyprawia mnie dziś o śmiertelną nudę. Pytałem uczonych, czy równie jak ja nudzą się przy tej lekturze: wszyscy ludzie szczerzy wyznali mi, że książka wypada im z rąk od senności, ale że trzeba ją mieć w bibliotece jako pomnik starożytności, coś jak owe zardzewiałe medale niezdatne już na obiegową monetę.

— Wasza Dostojność nie myśli tego o Wergilim? — zapytał Kandyd.

— Przyznaję — odparł Prokurator — że druga, czwarta i szósta księga Eneidy są wyborne; ale co się tyczy nabożnego Eneasza i silnego Kloanta, i przyjaciela Achata, i małego Askaniusza, i niedołęznego króla Latyna, i mieszczki Amaty i nudnej Lawinii, nie wyobrażam sobie, aby mogło istnieć coś bardziej zimnego i niesmacznego. Wolę raczej Tassa albo owe klituś bajduś Ariosta.

— A mógłbym spytać — rzekł Kandyd — czy nie znajduje pan rozkoszy w czytaniu Horacego?

— Są tam — rzekł Prokurator — maksymy, z których człowiek żyjący w świecie może wyciągnąć pewne korzyści i które ściśnięte w jędrny rytm wiersza łatwiej wbijają się w pamięć; ale mało mnie obchodzi jego podróż do Brindisi i opis lichego obiadu, i ordynarna kłótnia między jakimś tam Pupilusem, którego słowa, jak mówi, pełne były plugastwa,

a drugim, którego słowa pełne były octu⁵⁷. Z najwyższym wstrętem przebrnąłem przez jego grubiańskie wiersze przeciw starym babom i czarownicom; nie widzę też, co jest tak pięknego w tym, aby mówić swemu przyjacielowi Mecenasowi, że, skoro ów raczy go postawić w rzędzie liryków, poeta uderzy o gwiazdy wyniosłym czołem. Głupcy podziwiają wszystko u autora z reputacją. Ja czytam dla siebie; lubię jedynie to, co mnie trafia do smaku.

Kandyd, którego przyuczono o niczym nie sądzić wedle siebie, wielce zdumiewał się tym, co słyszy; Marcinowi natomiast wydał się ten pogląd wcale roztropny.

— Oho, widzę Cyncerona — rzekł Kandyd — co się tyczy tego wielkiego człowieka, sądzę iż odczytywanie go nigdy pana nie nuży.

— Bo też nie czytam go nigdy — odparł Wenecjanin. — Co mnie obchodzi, czy on bronił Rabiriusza czy też Kluencjusza? Dość mam

⁵⁷kłótnia między (...) *Pupilusem*, którego słowa (...) pełne były plugastwa, a drugim, którego słowa pełne były octu — odwołanie do: Horacy, *Satyry*, I, 7. [przypis tłumacza]

procesów, które sam sędzę. Bardziej już odpowiadałyby mi jego dzieła filozoficzne; ale skoro dostrzegłem, iż wątpi o wszystkim, doszedłem do wniosku, że wiem zupełnie tyle, co on i że nie trzeba mi niczyjej pomocy, aby być ignorantem.

— A, oto osiemdziesiąt tomów zbiorów Akademii — wykrzyknął Marcin — może tam będzie coś dobrego.

— Byłoby może — odparł Prokurant — gdyby który z autorów tych bajek wynalazł bodaj sposób fabrykowania szpilek; ale to wszystko jedynie czcze systemy, ani jednej rzeczy pożytecznej.

— Cóż za obfitość sztuk teatralnych! — rzekł Kandyd — włoskie, hiszpańskie, francuskie!

— Tak — rzekł senator — trzy tysiące, w tym ani tuzina dobrych. Co się tyczy zbiorów kazań, które ściśnięte razem niewarte są jednej stronicy z Seneki oraz wszystkich tych grubych dzieł teologicznych, domyślcie się łatwo, że ich nie otwieram; ani ja, ani nikt.

Marcin zauważył półki z dziełami angielskimi.

— Sądzę — rzekł — że mieszkaniem republiki musi sobie podobać w większości tych dzieł pisanych z taką swobodą.

— Tak — odparł Prokurant — pięknie jest pisać to, co się myśli; to przywilej człowieka. W całej Italii pisze się tylko to, czego się nie myśli; mieszkańcy ojczyzny Cezarów i Antoniuszów nie śmiały powziąć jednej myśli bez zezwolenia jakobińskiego kaptura. Podobałaby mi się swoboda, jaką natchnione są dzieła geniuszów Anglii, gdyby namiętność partyjna nie psuła wszystkiego, co jest godnego szacunku w tej cennej swobodzie.

Kandyd, spostrzegłszy dzieła Milтона, spytał gospodarza, czy nie uważa tego autora za wielkiego człowieka.

— Kogo? — rzekł Prokurant — tego barbarzyńcę, który do pierwszego rozdziału Genезy spisał komentarz bez końca w dziesięciu księgach chropawych wierszy? grubego naśladowcę Greków, który zniekształca dzieło stwo-

rzenia i który, gdy Mojżesz przedstawia Istotę wieczną wyprowadzającą świat ze Słowa, on każe Mesjaszowi szukać w szafie niebieskiej wielkiego cyrkla, aby wykreślić swe dzieło? Ja miałbym cenić tego, który zepsuł piekło i diabła Tassa; który przebiera Lucypera to za ropuchę, to za Pigmeja; każe mu wałkować po sto razy te same rzeczy; dysputować o teologii; który, naśladowując z całą powagą zabawny wymysł z bronią palną Ariosta, każe diabłom strzelać do nieba z armaty? Ani ja, ani nikt w całych Włoszech nie zdołał zasmakować w tych ponurych bredniach. Małżeństwo Grzechu i Śmierci oraz te jaszczurki, które rodzi grzech, przypowiadają o wymioty każdego człowieka z bodaj trochę wybredniejszym smakiem; długi zaś opis szpitala może bawić chyba grabarzy. Ten ciemny, wymęczony i niesmaczny poemat przyjęto ze wzgardą zaraz przy urodzeniu; ja patrzę nań dziś tak, jak nań patrzeli współcześni w jego ojczyźnie. Zresztą mówię co myślę i nie stoję bynajmniej o to, aby inni myśleli jak ja.

Kandyd z przykrością słuchał tych wywodów: miał cześć dla Homera, a cenił Miltona.

— Ach — szepnął do Marcina — obawiam się, iż ten człowiek musi mieć w ostatecznej pogardzie naszych niemieckich poetów.

— Nie byłoby nieszczęścia — rzekł Marcin.

— Och, cóż za niepospolity człowiek — szeptał Kandyd sam do siebie — cóż za geniusz ten Prokurant! nic nie może mu trafić do smaku!

Odbywszy tak po trosze przegląd wszystkich książek, zeszli do ogrodu. Kandyd zaczął wysławiać jego powaby.

— Nie wyobrażam sobie nic równie w złym smaku jak te fidrygałki — rzekł gospodarz — ale od jutra mam zamiar dać wytyczyć ogród szlachetniejszego rysunku.

Skoro podróżni pożegnali Ekscelencję, Kandyd rzekł do Marcina:

— Musisz chyba przyznać, że to jest najszczęśliwszy z ludzi, jest bowiem wyższy nad wszystko, co posiada.

— Czyż nie widzisz — odparł Marcin — że on zmierzony jest wszystkim, co posiada? Dawno już temu powiedział Platon, że nie są najlepsze te żołądki, które zwracają wszelki pokarm.

— Ale — rzekł Kandyd — czy to nie jest przyjemnie wszystko krytykować, widzieć braki tam, gdzie inni ludzie widzą piękności?

— To znaczy, że przyjemnie jest nie odczuwać przyjemności?

— Ha! — rzekł Kandyd — w takim razie jedynym szczęśliwym będę ja, skoro ujrzę pannę Kunegundę.

— Dobrze jest do końca nie tracić nadziei — odparł Marcin.

Tymczasem dni, tygodnie mijały; Kakambo nie wracał, Kandyd zaś tak był pogrążony w swej boleści, iż nie zauważył zgoła, że Pakita i brat Żyrofla nie przyszli mu nawet podziękować.

JAK KANDYD I MARCIN SPOŻYLI WIECZERZĘ Z SZEŚCIOMA CU- DZOZIEMCAMI I KIM BYLI OWI CUDZOZIEMCY

Jednego dnia, kiedy Kandyd w towarzystwie Marcina miał zasiąść do stołu z cudzoziemcami zamieszkałymi w gospodzie, jakiś człowiek z twarzą koloru sadzy przystąpił doń z tyłu i biorąc Kandyda za ramię, rzekł:

— Gotuj się pan do drogi i to natychmiast.

Obraca się i spostrzega Kakambę. Tylko widok Kunegundy zdołałby go bardziej zdumieć i ucieszyć. Omal nie oszalał z radości. Chwycił drogiego przyjaciela w objęcia.

— Kunegunda jest tu, prawda? Gdzież ona? Prowadź mnie do niej, niech skonam z radości na jej widok.

— Nie ma jej tu — odparł Kakambo — jest w Konstantynopolu.

— Och, nieba! w Konstantynopolu! ale, gdyby nawet w Chinach, pędzę tam; lećmy!

— Pojedziemy po wieczerzy — odparł Kakambo — nie mogę rzec więcej; jestem niewolnikiem, pan mój czeka na mnie, muszę iść usłużyć mu do stołu; nie mów ani słowa, kończ wieczerzę i bądź gotów.

Kandyd zdjęty równocześnie radością i bólem, uszczęśliwiony, iż widzi z powrotem wiernego posłańca, zdumiony, iż ogląda go niewolnikiem, pełen myśli o odzyskaniu ukochanej, ze wzruszonym sercem, z duszą pełną niepokoju, zasiadł do stołu z Marcinem, który patrzył z zimną krwią na wszystkie te przygody, oraz z sześcioma cudzoziemcami przybyłymi na karnawał do Wenecji.

Kakambo, który usługiwał jednemu z nich, nachylił się pod koniec uczyty do ucha swego chlebodawcy i rzekł:

— Najjaśniejszy panie, Wasza mość może ruszyć kiedy zechce, okręt gotów.

Rzekłszy te słowa, wyszedł. Zdumieni biesiadnicy spoglądali po sobie w milczeniu, gdy wtem drugi sługa, zbliżając się do pana, rzekł:

— Najjaśniejszy panie, karoca Waszej Miłości czeka w Padwie, a łódź jest gotowa.

Pan odpowiedział skinieniem, sługa znikł. Goście znowuż spoglądali po sobie, a zdumienie powszechne rosło. Trzeci sługa, podszedłszy do trzeciego pana, rzekł:

— Najjaśniejszy panie, wierzaj mi, Wasza Miłość nie może tu pozostać dłużej; spieszę przygotować wszystko do odjazdu — to rzekłszy, wyszedł.

Kandyd i Marcin nie wątpili już, że to karnawałowa maskarada. Czwarty sługa rzekł do czwartego pana:

— Najjaśniejszy panie, Wasza Miłość może odjechać, kiedy zechce — i wyszedł jak tamci.

Piąty rzekł toż samo piątemu panu. Aliści szósty sługa przemówił odmiennie do szóstego pana, który siedział obok Kandyda; rzekł doń:

— Dalibóg, Najjaśniejszy panie, nie chcą już nic dać na borg ani Waszej Miłości, ani mnie i mogliby nas łącno przymknąć obu tej nocy; co do mnie, dbam o swoją skórę; upadam do nóżek.

Skoro wszyscy słudzy znikli, sześciu podróżnych, Kandyd i Marcin trwali w głębokim milczeniu. Wreszcie Kandyd przerwał ogólną ciszę:

— Moi panowie, to, widzę, są szczególne żarty. Skąd wy wszyscy jesteście królami? co do mnie, wyznaję, że ani ja, ani mój towarzysz Marcin, nie mamy pretensji do tronu.

Wówczas pan Kakamby ozwał się poważnie po włosku:

— To nie są wcale żarty. Nazywam się Achmet III⁵⁸; byłem wiele lat sułtanem, zrzuciłem z tronu brata; bratanek strącił mnie z tronu; ucięto głowę moim wezyrom; kończę żywot w starym seraju. Bratanek mój, sułtan Mahmud, pozwala mi niekiedy przejechać się dla zdrowia; przybyłem tedy spędzić karnawał w Wenecji.

Młody człowiek siedzący koło Achmeta przemówił z kolei i rzekł:

⁵⁸*Achmet III* — Achmet III wstąpił na tron po bracie Mustafie w r. 1703; zdetronizowany przez janczarów w r. 1730, umarł w 1736. [przypis tłumacza]

— Nazywam się Iwan⁵⁹; byłem cesarzem Wszech-Rosji; zdetronizowano mnie w kołysce; ojca i matkę wtrącono do turmy; wychowano mnie w więzieniu; niekiedy wolno mi podróżować w towarzystwie moich stróżów; przybyłem tedy spędzić karnawał W Wenecji.

Trzeci rzekł:

— Jestem Karol-Edward⁶⁰, król angielski; ojciec przekazał mi prawa do królestwa; walczyłem, aby je przeprzeć; wydarto serca ośmiuset moim stronnikom i wychłostano ich nimi po policzkach; wtrącono mnie do więzienia; udaję się do Rzymu, aby złożyć wizytę ojcu, zdetronizowanemu podobnie jak ja i dziadek; wstąpiłem tedy, aby spędzić karnawał w Wenecji.

Wówczas czwarty zabrał głos i rzekł:

⁵⁹*Iwan* — Iwan, urodzony w r. 1730, został zdetronizowany w tymże samym roku, uwięziony i wreszcie zasztyletowany w 1762. [przypis tłumacza]

⁶⁰*Karol Edward* — syn Jakuba Stuarta i wnuk Jakuba II, ur. w 1720 r., umarł w 1788. W r. 1745 wylądował w Szkocji, aby odzyskać tron angielski; pobity udał się do Francji, potem do Włoch, gdzie umarł w niedostatku we Florencji. [przypis tłumacza]

— Jestem królem polskim⁶¹; losy wojny pozbawiły mnie dziedzicznego państwa; ojciec mój doświadczył tych samych nieszczęść; zgodziłem się z wolą Opatrzności, podobnie jak sułtan Achmet, cesarz Iwan i król Karol Edward, któremu niechaj Bóg da najdłuższe życie; i też przybyłem spędzić karnawał w Wenecji.

Piąty rzekł:

— Jestem również królem polskim⁶²; utraciłem królestwo dwa razy; ale Opatrzność dała mi inny posterunek, na którym uczyniłem więcej dobrego niż wszyscy królowie Sarmatów mogli kiedy zdziałać na brzegach Wisły. I ja pogodziłem się z wolą Opatrzności i przybyłem spędzić karnawał w Wenecji.

Kolej przyszła na szóstego króla.

— Panowie — rzekł — nie jestem tak wielkim panem jak wy, ale ostatecznie i ja byłem

⁶¹*król polski* — chodzi tu o Augusta III. [przypis tłumacza]

⁶²*Jestem również królem polskim* — chodzi o Stanisława Leszczyńskiego, teścia Ludwika XV, który straciwszy tron polski, otrzymał w dożywocie księstwo Bar w Lotaryngii. Panowanie jego, wypełnione dobrymi uczynkami i troską o szczęście poddanych, zyskało mu przydomek Dobroczynny. [przypis tłumacza]

królem jak inni. Nazywam się Teodor⁶³; wybrano mnie królem w Korsyce; nazywano mnie Królewską Mością, obecnie zaś ledwie raczą tytułować szanownym panem; miałem prawo bicia monety i w rezultacie nie posiadam ani szeląga; miałem dwóch sekretarzów stanu, dziś ledwie mam służącego; zasiadałem na tronie i oto przez długi czas spałem w Londynie na słomie w więzieniu; obawiam się, aby i tu mnie nie spotkał ten los, mimo że przybyłem, jak i Wasze królewskie Moście, spędzić karnawał w Wenecji.

Reszta królów słuchała tej mowy ze szlachetnym współczuciem. Każdy wręczył królowi Teodorowi dwadzieścia cekinów na odzież i koszule; Kandyd darował mu diament, wartości dwóch tysięcy cekinów.

— Któż to zacz — powiadali królowie — ów człowiek, który jest w stanie dać i daje w isto-

⁶³*Teodor* — Baron Teodor Neuhof, urodzony w Metz w r. 1690, zrazu awanturnik w służbach barona Goetz, ministra Karola XII. Jako rezydent Karola VI we Florencji, wspomógł Korsykę zbuntowaną przeciw Genui i został obwołany królem. W osiem miesięcy potem, czując się zagrożony, opuścił kraj i odtąd tułał się ścigany przez wierzycieli. Umarł w Londynie w r. 1756. [przypis tłumacza]

cie sto razy tyle, co każdy z nas? Czy i pan jesteś królem?

— Nie, panowie, i nie mam na to najmniejszej ochoty.

W chwili gdy wstawano od stołu, zjawiły się w gospodzie cztery Książęce Wysokości, które również straciły swoje państwa w kolejach wojennych; ale Kandyd nie zwrócił nawet uwagi na przybyszów. Myślał jedynie o tym, aby pospieszyć czym prędzej do ukochanej Kunegundy, do Konstantynopola.

PODRÓŻ KANDYDA DO KONSTANTYNOPOLA

Wierny Kakambo wyjednał już u kapitana tureckiego, który miał odwiedzić sułtana Achmeta do Konstantynopola, że weźmie Kandyda i Marcina na statek. Rozgościli się na pokładzie, uderzywszy czołem przed Jego mizernym Majestatem. Po drodze Kandyd powiadał do Marcina:

— Patrz! Otośmy wieczerzali z sześcioma królami pozbawionymi tronu! a jednemu z tych sześciu dałem nawet jałmużnę. Może jest na świecie wielu jeszcze monarchów bardziej nieszczęśliwych? Co do mnie, straciłem jedynie sto baranów i spieszę w objęcia Kunegundy. Drogi Marcinie, jeszcze raz powtarzam, Pangloss miał słuszność, wszystko jest dobrze.

— Życzę z serca, aby tak było — rzekł Marcin.

— Ale — rzekł Kandyd — trzeba przyznać, że ta ostatnia przygoda ledwie jest do wiary! Nikt jeszcze nie widział ani słyszał, aby sześciu zdetronizowanych królów wieczerzało w jednej gospodzie.

— Nie ma w tym nic osobliwszego — rzekł Marcin — niż w wielu innych rzeczach, które się nam trafiły. Bardzo pospolicie się zdarza, iż królowie zlatują z tronu; co się zaś tyczy rzekomego zaszczytu wieczerzania z nimi, to bagatela, która nie zasługuje na uwagę. Cóż znaczy z kim się wieczerza, byle kuchnia była dobra?

Zaledwie Kandyd znalazł się na okręcie, rzu-
cił się na szyję dawnemu słudze, przyjacielowi
Kakambie.

— I cóż — zawołał — co robi Kunegunda?
czy zawsze jest tym samym cudem piękności?
czy zawsze mnie kocha? jak się miewa? Kupiłeś
jej zapewne pałac w Konstantynopolu?

— Drogi panie — odparł Kakambo — Ku-
negunda pomywa naczynie na brzegu Propon-
tydy⁶⁴, u księcia posiadającego bardzo szczupłą
zastawę; jest niewolnicą w domu pewnego ex-
-panującego, nazwiskiem Rakoczy⁶⁵, któremu
sułtan daje trzy talary dziennie na utrzyma-
nie; co smutniejsze, postradała zupełnie dawną
piękność i stała się haniebnie szpetna.

— Ha! piękna czy brzydka — rzekł Kan-
dyd — jestem uczciwym człowiekiem i obo-
wiązkim moim jest kochać ją zawsze. Ale w ja-
ki sposób mogła spaść do tak niskiego stanu

⁶⁴*Propontyda* — Morze Marmara. [przypis tłumacza]

⁶⁵*Rakoczy* — Rakoczy, książę Siedmiogrodu, wzniesił na Węgrzech powstanie
przeciw Austrii; pobity w końcu, schronił się do Turcji, gdzie umarł w r. 1735.
[przypis tłumacza]

przy pięciu czy sześciu milionach, któreś zabrał z sobą?

— Dobryś — rzekł Kakambo — czyż nie musiałem oddać dwóch milionów señorowi don Fernando d'Ibaara y Figueora y Maskarenes y Lampurdos y Souza, gubernatorowi Buenos-Aires, w zamian za pozwolenie zabrania panny Kunegundy? a potem czyż pewien pirat nie odebrał nam sumiennie reszty? Zali ten pirat nie włóczył nas do przylądka Matapan, do Milo, do Nikarii, do Samos, do Petra, do Dardanelów, do Marmara, do Skutari? Kunegunda i stara służą u Rakoczego, ja zaś jestem niewolnikiem zdetronizowanego sułtana.

— Cóż za łańcuch straszliwych klęsk naniżanych na jeden sznurek! — rzekł Kandyd. — Ale mam jeszcze trochę diamentów; wykupię z łatwością Kunegundę. Wielka szkoda, że taka brzydka.

Następnie, zwracając się do Marcina, rzekł:

— Jak sądzisz, kto jest godniejszy współczucia, sułtan Achmet, car Iwan, król Karol-Edward, czy ja?

— Nie wiem — odparł Marcin — aby to ocenić, trzeba by mieszkać w waszych sercach.

— Ach — rzekł Kandyd — gdyby Pangloss był tutaj, wiedziałby i pouczyłby nas o tym.

— Nie wiem — odparł Marcin — na jakiej wadze wasz Pangloss zdołałby zważyć niedole ludzi i oszacować ich cierpienia. Wszystko co mogę przypuszczać, to że istnieją na ziemi miliony ludzi bardziej godnych pożałowania niż Król Karol-Edward, niż car Iwan i sułtan Achmet.

— Bardzo możliwe — rzekł Kandyd.

Niebawem wpłynęli w cieśninę Morza Czarnego. Kandyd wykupił Kakambę za drogie pieniądze; następnie, nie tracąc czasu, dopadł wraz z towarzyszami łodzi, aby spieszyć na brzeg Propontydy szukać Kunegundy choćby najbrzydszej w świecie.

Byli w szalupie dwaj galernicy, którzy wiosłowali bardzo lichy i którym kapitan rzepił od czasu do czasu po parę bykowców na gołę; Kandyd, z natury miłosierny, zauważył ich i zbliżył się do nich ze współczuciem. Pewne

rysy ich zeszpeconych twarzy zdradzały niejakie podobieństwo z Panglossem i z owym niešťczęśliwym jezuitą, baronem, bratem panny Kunegundy. Myśl ta wzruszyła go i zasmuciła. Przyjrzał się im jeszcze baczniej.

— W istocie — rzekł do Kakamby — gdybym nie patrzył na egzekucję mistrza Panglosa i gdybym sam, niestety, nie zgładził barona, myślałbym, że to oni wiosłują na tej szalupie.

Słyszając swoje imiona, dwaj skazańcy wydali głośny krzyk, znieruchomieli na ławie i opuścili wiosła. Dozorca przypadł do nich i bykowie poczęły sypać się w podwójnej porcji.

— Stój! stój! — wołał Kandyd — dam ci pieniędzy, ile sam zapragniesz.

— Ha! to Kandyd! — wołał jeden ze skazańców.

— Och! to Kandyd! — wykrzykiwał drugi.

— Czy to sen — mówił Kandyd — czy jawa? czy w istocie znajduję się na tej szalupie? Czy to baron, którego zabiłem? czy to mistrz Pangloss, którego widziałem na szubienicy?

— To my, my sami — odpowiadali tamci.

— Jak to! to jest ów wielki filozof? — powiedział Marcin.

— Dalej, panie kapitanie — rzekł Kandyd — ile pan chce za okup pana Thunder-ten-tronckh, jednego z pierwszych baronów cesarstwa, i za mistrza Panglossa, najgłębszego metafizyka z całych Niemiec?

— Psie chrześcijański — odpowiedział kapitan — skoro te dwa psy, galerniki chrześcijańskie, są baronami i metafizykami, co musi być niewątpliwie wysoką godnością w ich kraju, zapłacisz pięćdziesiąt tysięcy cekinów.

— Dostaniesz je, wież mnie z chyżością błyskawicy do Konstantynopola, tam zapłacę ci bezzwłocznie. Albo nie, wież mnie do panny Kunegundy.

Na pierwsze słowa Kandyda kapitan obrócił dziób ku miastu i pomykał szybciej niż ptak pruje przestwory niebieskie.

Kandyd ścisnął po sto razy barona i Panglossa.

— W jaki sposób nie zabiłem ciebie, drogi baronie? a ty, drogi Panglossie, jakim cudem

jesteś przy życiu, skoro cię powieszono? skąd znaleźliście się obaj na galerach?

— Czy to prawda, że droga siostra jest w tym kraju? — powiadał baron.

— Tak — odrzekł Kakambo.

— Widzę zatem mego ukochanego Kandyda! — wykrzykiwał Pangloss.

Kandyd przedstawił im Marcina i Kakambę. Ściskali się wszyscy, mówili wszyscy naraz. Galera pomykała, wpływali już do portu. Sprowadzono Żyda, Kandyd sprzedał mu za pięćdziesiąt tysięcy cekinów diament, który wart był sto tysięcy; Żyd zaklinał się na Abrahama, że nie może dać więcej. Kandyd zapłacił bezwzględnie okup za barona i za Panglossa. Ten rzucił się do stóp zbawcy i skąpał je łzami; baron podziękował skinieniem i przyrzekł zwrócić pieniądze przy sposobności.

— Ale, czy to podobna, aby siostra była w Turcji? — rzekł.

— Nic podobniejszego — odparł Kandyd — pomywa naczynie u księcia Siedmiogrodu.

Sprowadzono natychmiast dwóch Żydów; Kandyd sprzedał jeszcze dwa diamenty, po czym wsiedli na drugą galerę, aby uwolnić Kunegundę.

CO ZDARZYŁO SIĘ KANDYDOWI, KUNEGUNDZIE, PANGLOSSOWI, MAR- CINOWI ETC.

— Przebacz mi jeszcze raz — rzekł Kandyd do barona — przebacz, wielebny ojcze, dziurę którą ci wywierciłem w brzuchu.

— Nie mówmy już o tym — odparł baron — byłem nieco nagły, przyznaję. Jeśli chcesz wiedzieć, jaki przypadek sprowadził mnie na tę galerę, powiem ci, iż starania brata-aptekarza wyleczyły mnie z ran; następnie napadło mnie i uprowadziło stronnictwo hiszpańskie; wtrącono mnie do więzienia w Buenos-Aires, właśnie w tym samym czasie, kiedy siostra opuszczała miasto. Wyprosiłem u ojca generała pozwolenie na powrót do Rzymu. Przeznaczono mnie do Konstantynopola jako jał-

mużnika przy ambasadorze Francji. Zaledwie od tygodnia pełniłem obowiązki, kiedy pewnego dnia spotkałem młodego ikoglana⁶⁶, bardzo ładnego chłopca. Było straszliwie gorąco; młody człowiek pragnął się wykąpać; skorzystałem z jego towarzystwa, aby wykąpać się również. Nie wiedziałem, że to jest śmiertelna zbrodnia, kiedy chrześcijanina przydybią nago z młodym muzułmanem. Kadi kazał mi wyliczyć sto bambusów w pięty i skazał mnie na galery. Nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek ktoś padł ofiarą okrutniejszej niesprawiedliwości. Ale chciałbym wiedzieć, czemu siostra znajduje się w kuchni monarchy siedmiogrodzkiego zbiegłego do Turcji?

— A ty, drogi Panglossie — rzekł Kandyd — jakimż cudem cię oglądam?

— To prawda — rzekł Pangloss — powieszono mnie w twoich oczach; po formie powinni byli mnie spalić; ale przypominasz sobie, iż w dniu tej ceremonii lało jak z cebra. Burza była tak gwałtowna, że niepodobna było my-

⁶⁶*ikoglan* — paż na dworze sultana. [przypis edytorski]

śleć o rozpaleniu ognia; powieszono mnie, ponieważ nie dało się lepiej. Pewien chirurg kupił moje ciało, zabrał mnie do domu i wziął się do krajania. Najpierw podłużnym cięciem naciął mi skórę od pępka do obojczyków. Otóż, trzeba ci wiedzieć, iż powieszono mnie bardzo niedbale. Naczelnym egzekutorem św. Inkwizycji w randze poddiakona palił ludzi, trzeba mu to przyznać, znakomicie, ale nie był przyzwyczajony wieszać; sznur był mokry i ześlizgnął się, węzeł był źle zawiązany; słowem, oddychałem jeszcze. Owo nacięcie wydarło mi z piersi tak przeraźliwy krzyk, iż chirurg przewrócił się na wznak i w mniemaniu, że dostał pod nóż samego diabła, uciekł w śmiertelnym strachu, powracając się jeszcze raz na schodach. Na ten hałas nadbiegła z alkierza żona; ujrawszy mnie na stole z na wpół rozciętym brzuchem, przeraziła się jeszcze więcej od męża, uciekła i upadła na niego. Skoro przyszli trochę do siebie, usłyszałem, jak chirurgżyna mówiła do chirurga: „Moje serce, czego ty się bierzesz do krajania heretyka? Nie wiesz, że w tych ludziach siedzi diabeł?”

idę co żywo po księdza, aby odprawił egzorcyzmy”. Zadrzałem na te słowa i zebrałem ostatek sił, aby krzyknąć: „Miejcie litość nade mną!” Wreszcie ów cyrulik opamiętał się, zaszył mi z powrotem skórę, żona jego nawet zaopiekowała się mną; wstałem z łóżka po dwóch tygodniach. Cyrulik wyszukał mi zatrudnienie, umieścił mnie jako lokaja u pewnego kawalera maltańskiego jadącego do Wenecji: że jednak mój pan mi nie płacił, wstąpiłem w służby weneckiego kupca i udałem się z nim do Konstantynopola.

Pewnego dnia, przyszła mi ochota wejść do meczetu: był tam tylko stary imam i młoda, bardzo ładna nabożnisia, odmawiająca swoje ojczenaszki. Szyjkę miała głęboko obnażoną; między dwojgiem piersiątek tkwił bukiet z tulipanów, anemonów, róż i hiacyntów. Upuściła bukiet; podniosłem go i podałem z pełną szacunku skwapliwością. Tyle czasu zajęło mi umieszczanie go na dawnym miejscu, że podrażniony tym imam, widząc w dodatku, że jestem chrześcijanin, zaczął wołać o pomoc. Za-

prowadzono mnie do kadiego, który kazał mi dać sto bizunów w pięty i wysłał mnie na galerię. Przykuto mnie do tej samej galery, na tejże samej ławce, co pana barona. Było na tej galerze paru młodych Marsylczyków, kilku księży z Neapolu i dwóch mnichów z Korfu, którzy objaśnili nas, że podobne przygody zdarzają się co dzień. Baron twierdził, że jego spotkała większa niesprawiedliwość; ja twierdziłem, że mniejszą zbrodnią jest włożyć parę kwiatków za gors kobiety niż przestawać goło z młodym ikoglanem. Sprzeczaliśmy się bez przerwy i dostawaliśmy po dwadzieścia bykowców dziennie, gdy oto łańcuch zdarzeń tego świata sprowadził cię na galerę, z której nas wykupiłeś.

— I cóż, drogi Panglossie — rzekł Kandyd — gdy cię tak wieszano, krajano, ćwiczono batogiem, gdy wiosłowałeś wreszcie na galerach, czy wciąż byłeś zdania, że wszystko w świecie dzieje się najlepiej?

— Ciągłe trwam w pierwotnym mniemaniu — odparł Pangloss — toć nie darmo jestem filozofem: nie przystoi mi odmieniać zda-

nia. Leibniz nie może się mylić; praisstniejąca harmonia jest najpiękniejszym wymysłem na świecie, zarówno jak pełń i materia subtelna.

JAK KANDYD ODNALAZŁ KUNEGUNDĘ I STARUSZKĘ

Gdy Kandyd, baron, Pangloss, Marcin i Kakkambo opowiadali swoje przygody, gdy rozprawiali nad możebnymi i niemożebnymi zjawiskami tego świata, gdy dysputowali nad łańcuchem przyczyn i skutków, moralnym i fizycznym złem, wolną wolą i koniecznością, nad pociechami, jakie można znaleźć w sobie, wiosłując na tureckiej galerze, przybili do wybrzeży Propontydy, do domu księcia Siedmiogrodu. Pierwszym przedmiotem, jaki nastreczył się ich oczom, były Kunegunda i staruszka, które, susząc bieliznę, wieszały ją na sznurkach.

Baron zbladł na ten widok. Czuły kochanek Kandyd, widząc swą piękną Kunegundę o spalonej cerze, kaprawych oczach, wyschłej piersi, pomarszczonych licach, czerwonych i szorst-

kich ramionach, cofnął się o trzy kroki zdjęty grozą; następnie posunął się naprzód przez delikatność. Kunegunda uściskała Kandyda i brata; ci uściskali staruszkę; Kandyd wykupił obie.

Był w pobliżu do nabycia maleńki folwarczek; stara poradziła Kandydowi, aby go wziął tymczasem, nim cała gromadka doczeka się lepszej doli. Kunegunda nie wiedziała nic, że zbrzydła; nikt jej o tym nie objaśnił: przypomniała Kandydowi jego przyrzeczenia tonem tak pełnym wiary, że dobry Kandyd nie śmiał odmówić. Oznajmił tedy baronowi, iż ma zamiar zaślubić jego siostrę.

— Nie ścierpię nigdy — rzekł baron — takiego poniżenia z jej strony, a takiego zachwalstwa z twojej; nie pokaże się, aby mi kto mógł zarzucić podobną hańbę: dzieci mej siostry nie mogłyby zasiadać w kapitułach niemieckich. Nie, siostra nie zaślubi nikogo innego, tylko barona cesarstwa.

Kunegunda rzuciła się do jego stóp i zlewała je łzami: był nieugięty.

— Szaleńcze wściekły — rzekł Kandyd — uratowałem cię z galer, zapłaciłem okup za ciebie, za twoją siostrę; była tutaj pomywaczką, jest szpetna, jestem na tyle dobry, iż godzę się wziąć ją za żonę; i ty będziesz się sprzeciwiał! zabiłbym cię jeszcze raz, gdybym szedł za głosem mego gniewu.

— Możesz mnie zabić, ile razy chcesz — odparł baron — ale nie zaślubisz siostry, pókim żyw.

ZAKOŃCZENIE

Kandyd w głębi serca nie miał żadnej ochoty zenić się z Kunegundą, ale niedorzeczne zacie trzewienie barona skłaniało go do tego małżeństwa, Kunegunda zaś nalegała tak żywo, że nie mógł się wymówić. Poradził się Panglossa, Marcina i wiernego Kakamby. Pangloss ułożył piękny memoriał, w którym udowadniał, że baron nie ma żadnej władzy nad siostrą, i że wedle wszelkich praw cesarstwa może ona zaślubić Kandyda morganatycznie. Marcin był za

tym, aby barona wrzucić w morze; Kakambo osądził, iż trzeba go oddać dawnemu właścicielowi i wtrącić z powrotem na galery, po czym odeśle się go do Rzymu ojcu generałowi pierwszym statkiem. Rada zdała się wszystkim doobra; stara przychwalała ją; nie powiedziano nic siostrze; przy pomocy pieniędzy rzecz powiodła się wyśmienicie i nasi przyjaciele mieli tę przyjemność, iż zadrwili sobie z jezuity i ukarali pychę niemieckiego barona.

Byłoby zupełnie naturalne wyobrazić sobie, że po tylu nieszczęściach Kandyd, zaślubiwszy ukochaną, żyjąc z filozofem Panglosem, filozofem Marcinem, roztroptym Kakambą i dobrą staruszką, przywiózłszy zresztą tyle diamentów z ojczyzny dawnych Inkasów, będzie wiódł żywot najprzyjemniejszy pod słońcem; ale Żydki tak się koło niego zakrzętnęły, że niebawem nie zostało mu nic, prócz owego folwarczku. Żona, z każdym dniem brzydsza, stała się swarliwa i nieznośna; stara zniedołężniała mocno i była zazwyczaj w jeszcze kwaśniejszym humorze. Kakambo, który pracował

w ogrodzie i chodził sprzedawać jarzyny do Konstantynopola, był przeciążony pracą i zlorzeczył swemu losowi. Pangloss rozpaczał, że nie błyszczący w którym z niemieckich uniwersytetów. Co do Marcina, był on niezłomnie przekonany, że człowiekowi jest jednako źle wszędzie i znosił swój los z rezygnacją. Kandyd, Marcin i Pangloss dysputowali niekiedy o kwestiach metafizycznych i moralnych. Często widać było pod ich oknami przepływające okręty, pełne baszów, efendich, kadich, których wyprawiano na wygnanie na Lemnos, do Mityleny, do Erzerum; widzieli innych kadich, baszów, efendich, którzy zajmowali miejsce wygnanych, aby niebawem doznać takiegoż losu; widzieli ucięte głowy wypchane słomą, które niesiono, aby je przedstawić Wysokiej Porcie. Te widowiska dodawały ognia filozoficznym dysputom; kiedy zaś nie spierali się, panowała tak straszliwa nuda, że jednego dnia stara odważyła się wykrzyknąć:

— Chciałabym wiedzieć, co jest gorsze, czy być zgwałconą sto razy przez murzyńskich pi-

ratów, mieć wyrżnięty pośladek, przejść przez pałki Bułgarów, wziąć plagi i zadyndać na szubienicy podczas *autodafé*, znaleźć się na stole sekcyjnym, wiosłować na galerach, słowem doświadczyć wszystkich nieszczęść przez któreśmy przeszli, czy też tkwić tutaj tak beczynnie?

— To wielkie pytanie — rzekł Kandyd.

Odezwanie to dało powód do nowych dociekań; Marcin zwłaszcza dochodził do wniosku, że człowiek zrodzony jest, aby żyć w konwulsjach niepokoju lub też w letargu nudy. Kandyd nie godził się z tym, ale nic nie twierdził stanowczo. Pangloss przyznawał, że życie jego było jedną straszliwą męką; ale, ponieważ raz orzekł, że wszystko jest doskonałe, utrzymywał to ciągle i nie chciał słyszeć o niczym.

Jedna rzecz zwłaszcza utwierdziła Marcina w jego szkaradnych zasadach, zdwoiła wahania Kandyda i wprawiła Panglossa w zakłopotanie. Jednego dnia zjawili się we wrotach Pakita i brat Żyrofla, oboje w ostatecznej nędzy. Przejedli szybko swoje trzy tysiące piastrów,

rozstali się, zeszli znowu, pokłócili się, dostali się do więzienia, uciekli i wreszcie brat Żyrofla sturczył się. Pakita uprawiała wszędzie swoje rzemiosło i niczego się nie mogła dorobić.

— Przewidywałem — rzekł Marcin do Kandyda — że twoje dary niebawem się ulotnią i wtrącą ich jedynie w tym głębszą nędzę. Dławiście się od milionów piastrów, ty i Kakambo, i nie jesteście szczęśliwsi niż brat Żyrofla i Pakita.

— Ha, ha! — rzekł Pangloss do Pakity — niebo sprowadza cię do nas. Biedne dziecko! czy ty wiesz, że kosztowałaś mnie koniuszek nosa, jedno oko i jedno ucho? Jak ty wyglądasz! ha! oto świat!

To nowe wydarzenie pobudziło ich do tym zawziętszego filozofowania.

Żył w sąsiedztwie sławny derwisz, który uchodził za największego filozofa w całej Turcji; udali się doń po radę. Pangloss ozwał się w imieniu wszystkich i tak przemówił:

— Mistrzu, przyszliśmy cię prosić, abyś nam powiedział, w jakim celu stworzono tak osobliwe zwierzę jak człowiek?

— W co ty się wtrącasz? — odparł mu derwiz — czy to do ciebie należy?

— Ale bo, wielebny ojciec — rzekł Kandyd — strasznie dużo jest zła na ziemi.

— I cóż znaczy — odparł derwiz — wasze zło czy dobro? Kiedy Jego Wysokość wysłała okręt do Egiptu, zali kłopotczy się o to, czy myszy na statku mają wygodne pomieszczenie?

— Cóż zatem czynić? — rzekł Pangloss.

— Milczeć — odparł derwiz.

— Pochlebiam sobie — rzekł Pangloss — że będę mógł z tobą porozprawiać nieco o przyczynach i skutkach, o najlepszym z możliwych światów, o pochodzeniu zła, o przyrodzie duszy, i o praisstniejącej harmonii.

Na te słowa derwiz zamknął im drzwi przed nosem.

Podczas tej rozmowy, rozeszła się wieść, że uduszono właśnie w Konstantynopolu dwu wielkich wezyrów i muftiego, oraz wbito na pal

licznych ich przyjaciół. Katastrofa ta narobiła na kilka godzin wielkiego hałasu. Wracając na folwarczek, Pangloss, Kandyd i Marcin spotkali dobrego starca, który, siedząc przed domem, zażywał chłodu w cieniu drzew pomarańczowych. Pangloss, równie ciekawy jak skłonny do rozumowań, spytał staruszka, jak się nazywał mufti, którego właśnie uduszono.

— Nie wiem, dobry panie — odparł człeczyna — nigdy nie znałem imienia żadnego muftiego ani wezyra. Nie wiem zgoła o tym wydarzeniu. Rozumiem, iż w ogólności ci, którzy trudnią się sprawami publicznymi, giną niekiedy nędznie i że zasługują na to; ale nie pytam nigdy o to, co się dzieje w Konstantynopolu; zadowalam się tym, iż posyłam tam na sprzedaż owoce z ogródka, który uprawiam.

Rzekłszy te słowa, wprowadził cudzoziemców do zagrody; dwie córki i dwóch synów zerwało się na ich przyjęcie; podali im sorbety domowego wyrobu, kajmak zaprawny skórką kandyzowanego cedratu, pomarańcze, cytryny, limony, ananasy, daktyle, pistacje, przed-

nią kawę mokka bez żadnej domieszki lichszego gatunku. Po czym córki dobrego muzułmanna napoiły wonnościami brody przybyszów.

— Musisz posiadać — rzekł Kandyd do Turka — rozległe i wspaniałe majątności?

— Tylko ten kawałek ogrodu; uprawiam go z dziećmi; praca oddala od nas trzy wielkie niedole: nudę, występki i ubóstwo.

Wracając na folwark, Kandyd głęboko zastanawiał się nad słowami Turka, po czym rzekł:

— Zdaje mi się, że ten dobry starzec stworzył sobie los o wiele lepszy niż wszyscy ci królowie, z którymi mieliśmy zaszczyt wieczerzać.

— Wielkości — rzekł Pangloss — są bardzo niebezpieczne, wedle zgodnego sądu wszystkich filozofów; ostatecznie bowiem, Eglon, król Moabitów, zginął zamordowany przez Aoda; Absalon powiesił się na własnych kudłach, przesyty w dodatku trzema grotami; króla Nadaba, syna Jeroboama, zamordował Baasa; króla Elę, Zambri; Ochozjasza, Jehu; Atalię, Joad; królowie Joachim, Jechoniasz, Sedecjasz popadli w niewolę. Wiadomo wam, jak zginęli

Krezus, Astiages, Dariusz, Dionizy z Syrakuz, Pyrrus, Perseusz, Hannibal, Jugurta, Ariowist, Cezar, Pompejusz, Neron, Otto, Witeliusz, Domicjan, Ryszard II angielski, Edward II, Henryk VI, Ryszard III, Maria Stuart, Karol I, trzech Henrykowie francuscy, cesarz Henryk IV? Wiecie...

— Wiem również — rzekł Kandyd — że trzeba uprawiać nasz ogródek.

— Masz słuszność — rzekł Pangloss — albowiem kiedy człowieka wprowadzono do ogrodów Edenu, umieszczono go tam *ut operaretur eum*: aby pracował; co dowodzi, że człowiek nie jest stworzony dla spoczynku.

— Pracujmy nie rozumując — rzekł Marcin — to jedyny sposób, aby życie uczynić znośnym.

Cała gromadka dostroiła się do tego chwalebного zamiaru; każdy zaczął rozwijać swe talenty. Mały kawałek ziemi przyniósł nadspodziewany dochód. Kunegunda była po prawdzie bardzo brzydka, ale stała się doskonałą gospodynią; Pakita haftowała, stara krzątała się

koło bielizny. Nawet brat Żyrofla nie jadł darmo chleba; wykształcił się na doskonałego stolarza, a nawet stał się uczciwym człowiekiem; Pangloss zaś powiadał niekiedy do Kandyda:

— Wszystkie wydarzenia wiążą się z sobą na tym najlepszym z możebnych światów; ostatecznie, gdyby cię nie wykopano z zamku nogą za afekt do panny Kunegundy, gdybyś nie popadł w ręce Inkwizycji, nie zwędrował pieczo Ameryki, nie postradał wszystkich baronów z krainy Eldorado, nie jadłbyś teraz tutaj kandyzowanych cedratów i pistacyj.

— Masz słuszość — odparł Kandyd — ale trzeba uprawiać nasz ogródek.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kandyd>

Tekst opracowany na podstawie: Wolter, Kandyd, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1931]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Tadeusz Boy-Żeleński.

Okładka na podstawie: Nieuwe caerte van het Wonderbaer ende Goudrjcke Landt Guiana, Jodocus Hondius (1563–1612), domena publiczna

ISBN 978-83-288-1023-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę. (VOLTAIRE) *Kandyd* 219

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.